



HUSARIA TRADYCJI

JESIEN 2009 (4)

W numerze:

Wstęp (2)

Durejko: Pejzaż inflancki w twórczości Kazimierzy Hłakowiczówny (3)

Herbert: List do studentów PWST (11)

Holoubek: Wspomnienia z niepamięci (11)

Łysiak: Granica (13)

Łysiak: Koniaczek (14)

Mackiewicz: Lewa wolna (16)

Mackiewicz: Nudis verbis (17)

Norwid: Język ojczysty (25)

Norwid: Klątwy (25)

Pikuzińska: Pamiętnik (26)

Słomka: Pamiętniki włościanina (28)

Słowacki: Kiedy prawdziwie Polacy powstaną... (37)

Trznadel: Ji-jitsu (38)

W czwartym numerze Husarii Tradycji obrodziło wypisami.

Na początek artykuł Agnieszki Durejko (z Katedry Literatury XIX wieku w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego) o wpływie Inflant na twórczość Kazimierzy Iłakowiczówny. Tekst ukazał się w lipcu 2003 roku w magazynie „Nasz Czas”.

Następny w kolejności jest niedługi acz niezwykle trafny list Zbigniewa Herberta do studentów Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej.

Pozostając przy teatrze i nawiązując do 70 rocznicy wybuchu II wojny światowej polecam fragment „Wspomnień z niepamięci” autorstwa Gustawa Holoubka.

Dalej mamy dwa niezmiennie aktualne artykuły autorstwa Waldemara Łysiaka, które ukazały się swego czasu w Gazecie Polskiej. Oba świetnie przyprawione!

Kolejny na liście to klasyk – Józef Mackiewicz. Najpierw fragment powieści „Lewa wolna” osadzonej w czasach wojny z bolszewikami a po nim „Nudis verbis” - też o bolszewikach, ale tych późniejszych...

Po Mackiewicz - Norwid... wiecznie żywe wiersze: „Język ojczysty” i „Klątwy”.

Na kolejnych dwóch stronach wspomnienia z rabacji 1846 autorstwa Marianny Pikuzińskiej - siedemnastoletniej dziewczyny z Dołegi pod Tarnowem, a także włościanina – Jana Słomki, który opowiada również o innych rzeczach (dalsza część w kolejnym numerze HT).

Dalej – Słowacki, którego rok powoli dobiega końca i wiersz „Kiedy prawdziwie Polacy powstaną...”

Na koniec niezwykle ciekawe opowiadanie Jacka Trznadla o zbrodni katyńskiej.

Milej lektury! (a wieczory coraz dłuższe...)



Agnieszka Durejko

Pejzaż inflancki w twórczości Kazimiery Hłakowiczówny

Dorobek literacki Kazimiery Hłakowiczówny jest nadzwyczajnie bogaty i zdawać by się mogło, że dobrze poznany. Jednakże pojawiające się przy różnych okazjach wypowiedzi świadczą jeszcze o niedokładnym penetrowaniu tej wspaniałej, bardzo malarskiej, a zarazem muzycznej twórczości poetyckiej. Polska poetka jest niewątpliwie największym zjawiskiem spośród wszystkich ludzi pióra piszących o Inflantach.

Tradycja literatury polskiej w byłych Inflantach polskich nie ma ciągłości. Twórczość literacka Polaków nie daje się więc sprowadzić do ciągłego procesu kulturowego, zaznacza się jednak wyraźnie tendencja, widoczna przede wszystkim w poezji, wyrażania emocjonalnego związku z ojczyzną, której najwyraźniejszym symbolem, organizującym ten krajobraz rodzinny, jest rzeka Dźwina. Toteż przestrzeń literacka historycznie widzianej Litwy zyskuje obok Niemna drugi charakterystyczny element.

Stefan Napierski pisał o Hłakowiczównie chyba niezbyt słusznie: "Obolała, dwóch skłóconych ojczyzn córka (tej Litwy, która jej nie pragnie, i tej Polski, którą zbyt długo rzeczywistością pragnęła) genetycznie rozdwojona, psychicznie bezdomna, buduje wokół siebie, jako ostatnie schronienie, świat fikcji poetyckiej..."[1] Granice w życiu Hłakowiczówny nie odnoszą się wyłącznie do obszaru, terytorium, krainy, one przebiegały w rozmaity sposób. Pojawiały się na przykład w chwilach przełomowych dla jej życia. Urodziła się w Wilnie, i tam spędziła kilka lat ze swoją matką Barbarą i siostrą. Po śmierci matki została rozdzielona z siostrą i adoptowana przez wuja. Drugi etap życia złączył ją z przybraną matką Zofią Bujnową i Inflantami Polskimi, które były prowincją w historycznie rozumianej Litwie już przecież od XVI wieku, czyli od czasów panowania Zygmunta Augusta. Kilkanaście lat spędzonych w Baltyniu i okolicach, odcisnęło mocne piętno na duszy Hły. U schyłku życia, w 1981 roku powiedziała: "Dla mnie ojczyzną zawsze pozostaną Litwa i Łotwa. Wszystko inne- i Warszawa i Poznań- było i jest dla mnie zagranicą. Cały mój pejzaż jest stamtąd, z moich stron rodzinnych. To nie przypadek, że poetka zestawia ze sobą te dwie przestrzenie, uwzględniając fakt, iż istotnie były Inflanty należały do Łotwy po 1918 roku. W swoich utworach opisywała jakby wspólnie "nieznanych świętych Łotwy i Litwy, a także brzozy rosnące od Dźwińska do Mołodeczna i od Mołodeczna do Wilna".[2]

To właśnie tam na ziemiach naddźwińskich zrozumiała, że pisanie jest jej powołaniem, chciała pisać, choć potem przez całe życie obawiała się czy robi to dobrze. Stąd wykazywała tyle aktywności przy innych zajęciach. Życie od początku nie było dla niej łaskawe. Kilka lat po urodzeniu straciła ojca i matkę, wychowywał ją wuj Jakub Hłakowicz w Dyneburgu. Mocno zaniechaną zabrała filantropka Zofia z Zyberk Platerów Bujnowa. Kazia znalazła dom, opiekę i miłość. Trudno więc się dziwić, iż ten fragment życia zaowocował także zbiorami poezji, które uchwyciły piękno ziemi dzisiaj łotewskiej

Kochała przyrodę, w której się wychowała, tworzyła z nią całość. Potrafiła dostrzegać niewielkie, drobne rzeczy, jak "motyl trąca motyla", swoje rzeki, ale i "nasze dziewczęta". (To zbiorowe odczuwanie jest bardzo charakterystyczne dla wielu twórców z Inflant). Poetka w swoim wspaniałym tomiku *Popiół i perły* nie pisze wierszy, tylko jakby wierszowane obrazki, mocno skondensowane treściowo. Odnosi się wrażenie, iż zjawiska, które opisuje, miejsca, które charakteryzuje, są bardzo namacalne, rzeczywiste, obserwowane jakby bez perspektywy czasowej. (Wiersze rzadko mają budowę stroficzną) Matylda Wełna pisała: "Zdumiewa [...] prawda szczegółu, bystre, zachłanne oko, które wszystko widzi, nawet rzeczy drobne, mało ważne, przez innych pomijane, niedostrzegane. Od dzieciństwa żyła z przyrodą, umie na nią patrzeć, kontempluje wszystkie jej przeobrażenia, nasycy się jej pięknem. [...] Dla niej w przyrodzie było coś tajemniczego: rzeka samograjka, bez- siwy ze starości[3]; zna nazwy polnych kwiatów, nie

przejdzie obojętnie obok badyli, uroczą ją pożyteczne zioła, dostrzega małe dramaty zwierząt i roślin"[4].

W jej poezji odnajdujemy bogactwo uczucia i fantazji[5], bogate i wylewne opisy, przeciwstawione zwięzłym, króciutkim wierszykom. Iłła bawi się słowem. Jej wyobrażenia żywi się niepoohamowanym temperamentem i jednocześnie wrażliwością godną artysty malarza. Muzykalność i śpiewność wiersza można wyłapać nie tylko słuchem, ale i zmysłem wzroku. Jak pisano w gazecie przedwojennej: "Tajemnicza zawsze istota talentu, gdy chodzi o Iłłakowiczównę, staje się bardziej jeszcze niepojętą. Czemu się to dzieje, że najfantastyczniejsze obrazy, najbardziej dziwaczne i nieoczekiwane skojarzenia stają się źródłem głębokich wzruszeń, w czym tkwi ich emocjonalna siła?..."[6]. Próba odpowiedzi na to pytanie będzie zaprezentowanie tego wycinka życia poetki i pokazanie fragmentu dorobku literackiego, który bezpośrednio wiąże się z przestrzenią ziemi inflanckiej, na której Iłłakowiczówna przez jakiś czas się wychowywała. "Dzieciństwo spędziłam na dawnych Inflantach, w dzisiejszej Łotwie.[...] Najbliższą "stolicą" tamtych stron był dzisiejszy Daugavpils, wówczas zwany Dyneburgiem, najbliższym miasteczkiem mojej wiejskiej okolicy był Krasław, a do kościoła jeździło się do Indrycy nad Dźwiną"[7].

Okres życia w Baltyniu i Stanisławowie sama Iłła tak opisywała: "Przywieziono mnie linijką z Krasławia od pani Żabiny [...].A do pani Żabiny dostałam się od wujostwa ze Śniegów...Do nich zaś przedtem spadłam od wuja i wujenki, u których miałam się wychowywać w Dyneburgu po śmierci matki mojej Barbary w Śniegach. Nie było tam żadnego wychowania i płakałam całymi dniami, zaniedbana i zawoszona, pod opieką dwóch dzieńszczyków (rosyjskich ordynansów), więc zabrano mnie z powrotem do Śniegów. Tymczasem u pani Żabiny cały czas leżała moja fotografia. Tę fotografię zobaczyła moja matka, Zofia, i postanowiła mnie wziąć do siebie. [...] Baltyn leży dziś na Łotwie Sowieckiej, wtedy leżał w guberni Witebskiej. Ganek był obszerny, opleciony dzikim winem. Matka moja Zofia siedziała przy herbacie, na ganku, za niskim, koszykarsko plecionym stolikiem, kiedyśmy zajechały. Miała białe włosy i jedno pasmo ciemnorudych, patrzyła na mnie bez uśmiechu,..."[8].

O Stanisławowie wiadomo, że go nie lubiła. "Zresztą wszystko zło zaczęło się właśnie w Stanisławowie.[...] Parafią naszą stała się Indryca, wieś nad Dźwiną, gdzie nie było nic i nikogo, oprócz kościoła. Krasław był jedyną naszą światłością, z chwilą przeprowadzenia się o wiorst osiem dalej w głąb, wyjazdy nasze stały się coraz rzadsze, a przyjazdy do nas całkowicie ustały. W Stanisławowie trzeba było wszystko urządzać od parku począwszy. W Baltynie był zasiedziały dwór ze starym parkiem i nawet własny cmentarz byłych właścicieli Baltyna, jakichś kurlandzkich baronów"[9].

Dlatego nic dziwnego, że dostrzegano w jej twórczości bogactwo języka ze słownictwem ze wszystkich stron. Lubiała słownictwo ludowe, zapamiętane z okresu młodości. Dlatego nie jest łatwo tłumaczyć jej wiersze na język obcy, są zbyt osobiste i trudne. Dzięki lekturom dziewiętnastowiecznym miała bogaty zasób polszczyzny z tegoż wieku. I choć nie była nowatorką, nie tworzyła słów nowych, ani nie zapożyczała ich z innych języków, to jednak poprzez zastosowanie wyrazów gwarowych ożywiała swoje wiersze i nadawała im specyficzny klimat. Zwiększoną ekspresję osiągała także poprzez wykorzystywanie znaków interpunkcyjnych.

Tomik wierszy *Popiół i perły* stanowi zbiór wspomnień z kraju lat dziecińczych, z byłych Inflant Polskich. Znamiennym jest fakt iż poetka w jednym z wierszy określa odbiorców tych swoich utworów: Nie dla obcych

**Ten las, ten ogród, ten dom,
te porosłe cząbrem manowce
-to nie są wiersze dla was,
to nie są wiersze dla obcych.**

Stoją tu czcionkami zakłęte
grządkami na stronicach,
ale ten kto żywcem spamiętał,
tylko ten się może zachwycać (...) [10].

Skoro nie dla obcych, a tylko dla tych co tę inflancką ziemię znają, to dlaczego sam wiersz zachwyca? Decydują tu na pewno dwa elementy, przestrzeń opisywana, jak i sposób opisu. Wartość estetyczna wiersza i walory pozaestetyczne są tak duże, że jak pisano w miesięczniku: "te fragmenty opisowe mają wystarczającą plastykę, by uprzytomniać sprawy i rzeczy nawet obcej wyobraźni; przenikający je liryzm narzuca się uczuciowości nawet nie zainteresowanego, nie dotkniętego utratą zakordonowych części Rzeczypospolitej człowieka"[11].

Obok tego wiersz, w którym nastąpił wyraźny podział na tych obcych i na tych swoich, w tomiku znalazły się jeszcze inne wiersze, które podkreślają jakby granicę istniejącą między tamtym światem naddziwińskim a krajem nad Wisłą. Wiersze Iłły o latach dzieciństwa powstawały w latach dwudziestych, kiedy to ziemie inflanckie zostały wcielone do Łotwy. Poetka pisze o "tamtejszych dzieciach", które kiedyś uczyła. Przychodziły z okolicznych miejscowości: Ruchman, Liwczan, Kokiń, dostawały elementarze, siedziały na trawie i uczyły się pisać i czytać. W wierszu tym pojawia się uczucie tęsknoty i troski o dzieci z tamtych czasów.

Czyście dzisiaj szczęśliwsze,
czy lepszy dzień wam świta,
małe tamtejsze dzieci,
które uczyłam czytać?
Przychodziły z Liwczan
przybywały z Kokiń,
w oczach miały siwych , modrych
spokój głęboki.
Dawałam im elementarze,
mówiąc : "Czekajcie, sama wam wszystko pokażę",
a one siadały w trawie
czapkami , warkoczykami się bawiąc.[...]
Zlatywały się roje much,
coraz bardziej słaby w nas wszystkich duch,
przez palce jak słońce przeciekał...
Przysłano nam chleba i mleka.[...]

Wyraźne odczuwanie podziału ci i tamci oraz podział wynikający z perspektywy czasowej, na tych z tamtych czasów z dzieciństwa i tych współczesnych Iłłakowiczównie, widać w wierszu Tamtejsi [12]:

Jacyż to nasi tamtejsi?
Bledsi , chudsi , lżejsi, mniejsi.
Piechotą na jarmark idą,

by ich podwiózł - proszą Żyda;
 służą starowierom jak parobcy,
 nie strzyżeni , niepiśmienni...Ciche owce!
 Tyfus ich dziesiątkuje i cholera,
 tacy byli w mym dzieciństwie...Jacyż oni teraz?
 Dzieci ich patrzą jak blade kwiatki lnu,
 psy ich zawsze wyją , skomlą - nie znają snu...
 W kościele lanem się chylą zbitym przez grad,
 ten najszczęśliwszy z nich , co krzyżem padł;
 Hostia nad nim wzniesiona jaśniej nie zwykle
 O święci , nieznani święci Łotwy i Litwy!.

Charakterystycznym wierszem uwzględniającym tę niesamowitą inność dwóch światów: Inflant nad Dźwiną i Polski nad Wisłą można zauważyć także w wierszu Powietrze koło mnie już nie te rozpoczynający cykl Wiersze chropowate. Ta tęsknota za czymś co nie wróci, co nie da odczuć zapachu powietrza naddźwińskiego, kładzie się cieniem na cały wiersz.

Powietrze koło mnie już nie te,
 Pieni się kotluje i wre....
 [...]

Zastygłam od czarnej biedy,
 Dawno mię kamieniem przykryto,
 Nie wiem od kiedy
 Leżę pod wielką płytą...[...]

W poświęconym przybranej matce tomiku wierszy, można uznać za dominantę liryzm wypływający z wierszy Iłły. Poetka chwytą chwilę, która kiedyś minęła. Potrafi opisać radość i jak pisała Stefania Podhorska Okołów: "Motywy tej radości są rozmaite, ale wszystko jednako proste i dziecinne; stąd wieloplanowość fragmentów obrazka i jednolitość ogólnego nastroju"[13]. Znakomicie pokazuje to wiersz Niedziela[14], w którym radość osiąga najwyższy poziom przy "różowej ślicznej wykrochmalonej sukience":

Ganek- z lekka wilgotny od rosy,
 ślady stóp na zgrabionem bose.
 Jeszcze wczynie. Stangret myje koła.
 Dzwony biją dalekiego kościoła.
 Już Barbara z Józią śpieszą na piechotę;
 już ich nie ma; już znikły za płotem.
 A ja mam sukienkę różową, ślicznie krochmaloną,
 i cieszę się , że święto i że już dzwoniło.

Niezależnie od tego, czy wiersz opisuje postać, scenkę rodzajową, czy też krajobraz, z tych

utworów emanuje świeżość uczuć i natłok emocji związanych z przeżyciami z dzieciństwa [15]. Pojawia się w tomiku galeria postaci: służba domowa, chłopci, służący, żydzi, rzeźnik oraz przeżycia jak sny przewidzenia, strachy, tęsknota, troski i radości dzieciństwa. Iłła nie ulega sztywnym ramom wierszy. Jej utwory są wierszami drobnymi, najczęściej bez podziału na zwrotki. Liczy się tylko ich melodia, ich brzmienie. Można odnieść wrażenie, iż teksty są fragmentaryczne, jakby po muśnięciu piórem, śladem chwili, która również jest krótka. (Ta prostota i asceza wyrazu jest wręcz w tych wierszach niesamowita). Tę prostotę zauważono również w 1930 roku przy okazji artykułu o poetce: "Ten Dwór w Dorotpolu[16] mógłby się stać przedmiotem interesującej rozprawy o prostocie w poezji. Na jego przykładzie można by z powodzeniem bronić tezy, że prostota uchodzi tylko ludziom skomplikowanym"[17]. W otoczeniu takich ludzi i takich miejsc jakie opisuje, wychowała się. Zżyła się z tym światem do tego stopnia, że widzi jak kwiat kartofli okiem do niej mruga, mówiąc: "gdzie taka uroda druga?", "jęczmień zdradliwy i miękki szuka dotknięć ciepłej ręki...wślizga się pod jedwabie, już kłują lepkie wąsiska!", zna miejsca, gdzie jeżyny "lepkie, ciemne, płodne - w czarne kałuże zagłębają do dna" i wie, że ,choć "na nich jagoda błyska", pod nimi są węzowiska, ma swoje ukochane knieje i rzeki, nie obcy są jej kacapi, którzy wciąż "jedzą aż człowiekowi słabo", rozczesują swe "brody jasno-złote, żegnają ziewające paszce jeszcze pełne chleba i jasnymi oczyma w jasne patrzą niebo"[18].

Niektóre wiersze są nawet nieco udratyzowane, jak choćby wiersz Wabolskie jezioro[19]. Odbiorca tego tekstu widzi przesuwające się niczym w projektorze obrazy. Kleryk leży chory, nie ma kto poprowadzić nieszpórów, odprawianych jedynie przez ptaki, kościoły w Liksnie i Iłłuszkacie "rozbite". Z chórem czajek i innych ptaków lamentują kobiety. W tym samym czasie pojawia się błądy chłopiec z dziurą w czole i lancą. Klęka i żegna się, znika. Nikt się tym jednak nie przeraża, gdyż wszyscy wiedzą iż "nad jeziorem czasem widny nieboszczyka polskiego pana zabity syn." Kadr po kadrze przesuwają się przed oczami czytelnika, który uczestniczy w misterium ducha pojawiającego się nad jeziorem, scenariusz wydarzenia. O jeziorach inflanckich Iłłakowiczówna napisała: "Było tam dużo jezior, więcej, niż można sobie na raz wyobrazić. Z jednego pagórka w naszym Stanisławowie można ich było widzieć przynajmniej osiem"[20].

W krótkim wierszu Krup [21], poetka nie opisuje choroby, ani nie roztrząsa uczuć, relacjonuje raczej na gorąco fragment prawdziwego życia:

Tyle lekarstw, coraz nowych prób

Tyle nocy dusił dziecko krup

Jeszcze nie ustąpił, jeszcze nad nim stoi

Pomarnował w domu wszystkich, wszystkich samych swoich!

Ciągle tak na dworze zimno, ciągle wilgotno...

Stangret Waškę i Orlika przywiódł pod okno;

Jeden strzyże, strzyże uchem, drugi w głos stęka.

"Nie powróci już do zdrowia mała panienska!"

Żółte koty mrużąc pilnie czuwają:

"Będzie zdrowa, będzie zdrowa, czekajcie maja".

Jak stwierdza Wilhelm Szewczyk, Iłłakowiczówna wolała pisać o epizodach społecznych z przeszłości, od rzeczywistości terażniejszej stroniła[22]. Jednak cechą najbardziej zauważalną w tomiku Popiół i Perły jest miłość ojczyzny, kraju lat dzieciństwa, a z niej wyrasta miłość rzeczy prostych, codziennych, ukrytych w trawach, łące, kwiatkach, rzeczce, itp.

Ta spostrzegawczość i kochanie przyrody ujawniło się we wszystkich wierszach tomiku, ale także

w tomie prozatorskim Trazymeński zając. Autorka pracy porównała wiersze związane z jakimś wycinkiem krajobrazu i zestawiała je z fragmentem prozy. Pięknym przykładem poetyckiego opisu jest wiersz Cmentarz w Jurahowie [23]:

Po stromym urwisku czeremcha się wspina;
 Śpią w brzozowej kniejce dziedzice Baltyna.
 Płynie łąką bystry ruczaj,
 Młyn daleko stuka, huczy,
 z wzgórz okolicznych pachnie las sosnowy
 i dymy lecą od Baltyna i Jurahowa,

któremu przeciwstawia się wspomnienie poetki pisane także prozą:

"Baltyn leżał na górze, a cmentarz całkiem w dole za bagnistą łączką, którą przecinał bieg wody. [...]. Na drugim wysokim brzegu leżało Jurahowo, a nie opodal zejścia stamtąd wśród kwaśnych kępiastych pastwisk - okrągły, zadrzewiony, okopany rowem cmentarzyk[...]"[24].

Cmentarzyk jurahowski klęczy po pas w trawach
 płot- dawno obalony; bydło wchodzi bez obawy,
 pomiędzy ciasne pnie laciące krowy się tłoczą
 i łamią bez, i brzózkom zbyt długie obrywają warkocze.
 Fujarka pytająco gwizdże tuż , tuż za dawnym wałem....
 ...Na grobie spi z kiścią traw w pysku owca z jagnięciem białym

Na cmentarzu jurachowskim znajdowały się mogiły baronów kurlandzkich. "Zresztą stan ich był pożałowania godny. Okalający je okop powoli zapełniał się trawą i zielskiem, jeżyny rozpleniając się obniżyły brzeg rowu. Łażł tamtędy kto żyw: dzieci po jagody, baby po chrust, owce i świnię -ze zbytków".[25]

Przychodzimy o wczesnym ranku, na przelaj przeciąwszy drogę.
 "...Trzeba pomóc biednym umarłym , a oni nas też kiedyś wspomogą...?
 Mamy łopatki i grabki, ciężko pracujemy schylone.
 " Trzeba oczyścić mogilki śpiącym kurlandzkim baronom".
 Równamy ślad racic, podźwigamy upadle krzyże....
 " I oni nad nami się schylą , kiedy śmierć się do nas przybliży!"

"Wczesnym bardzo rankiem zbiegałyśmy[26] ze stromej pochyłości, zostawiając na lewo zarośnięte czeremchą zbocze i parów szalejący od słowików...Słowiki i komary pamiętam z inflanckich moich czasów jako najdokuczliwszą nocną plagę[27]... Biegąc tak na cmentarz przed śniadaniem i lekcjami, niosłyśmy łopaty i grabie, każda z nas - stosownie do swego wzrostu i sił. Lubiłam te wyprawy, uważając je za ofiarę połączoną z przygodą [28].

Ta granica między poezją a prozą jakby się zaciera. Iłakowiczówna pisze swe wspomnienia zlepiając strzępy wrażeń i obserwacji. Jak pisał Krzysztof Dybciak, " jej narracja jest pozbawiona

ciągłości tematycznej, fabularnego uporządkowania, wyraźnego oświetlenia faktów"[29]. Mało wyrobiony czytelnik, mógłby w niektórych momentach nie wyczuć różnicy między wierszem i prozą. Okazuje się więc, że ta umiejętność zapisywania chwili zrodziła więc nie tylko utwory liryczne. Opisana polskość na ziemiach dzisiejszej Łotwy jest czymś oczywistym[30]. Należy jednak zauważyć, iż w swoich utworach Z rozbitego fotoplastikonu, Niewczesne wynurzenia oraz Trzymieński zając, czasami wprowadza postaci innej narodowości, ale nadaje im specyficzne określenia[31] np. służącą Matyldę, która jest "Łotewką", bałtkami są pomocnice domu: Berta , Elza, Tina. "Czy były to autentyczne Niemki, czy Łoteweczki z Rygi , nie wiem, dość, że za nimi ściągnął cały szereg osobistości domowo-podwórzowych mówiących po niemiecku. Ogrodnik Walter, rymarz Frischengruber, szereg panien służących Mamy, (...)"[32]

Przeglądając tomik *Popiół i perły*, oraz prozę Iłakowiczówny, można dojść do wniosku, iż przestrzeń geograficzna byłych Inflant Polskich, wyznaczyła Iłakowiczówna poprzez najważniejszą rzekę Dźwinę oraz jej dopływy, liczne miejscowości, miejsca, które poznała w dzieciństwie. To była jej przestrzeń magiczna, polska, inflancka. W wierszu Dom nasz czytamy: "Tam w modrzewiach tych starych, stoi/ w krajobrazie przepasanym Dźwiną/ dom..."[33] Tylko parę razy wprowadziła określenie tej przestrzeni, poprzez nazwę polityczną, czy też geograficzną. W "ziemi łotewskiej" pochowano jej matkę, natomiast jak zauważył wspomniany wyżej Krzysztof Dybciak[34], we wspomnieniach z 1940 roku odnajdujemy określenia "Łotwa sowiecka."

Krytycy bardzo ciepło ocenili ten zbiór wierszy. "Jesteśmy świadkami powrotu w świat dzieciństwa, który, dzięki wstecznej ewokacji zjawisk, połączonej zawsze z najwyższym napięciem strun uczuciowych, staje się triumfalnym wkroczeniem w świat poetyckiej zjawy[...]. Czytelnik przechodzi niejako osobiście wszystkie etapy tej wędrówki po krainie pamięci [...]"[35].

Wydanie tomiku *Popiół i perły* 1930 roku , zbiegło się z przyznaniem nagrody miasta Wilna im. Adama Mickiewicza za rok 1929. Wilno, jako historyczna stolica Litwy, centrum kulturalne, będące odniesieniem dla nieco prowincjonalnych miast inflanckich w XIX i na początku XX wieku, doceniło walory talentu poetyckiego Iłakowiczówny. W ten sposób podkreślono zasługi poetki opiewającej ziemię kresową od Wilna do Mołodeczna za tomiki wcześniejsze takie jak: *Płaczący ptak* (1927) i *Zwierciadło mocy*. W "Przeglądzie literackim" napisano: tomiki " wskazują na okres dojrzałości talentu i pełnią żniwa tak bujnych kłosów poezji, wiązanych w snopy na naszych dalekich kresowych łąkach."[36]

Przypisy

[1] Stefan Napierski, *Mitologia cierpienia (O postawie poetyckiej Iłakowiczówny)*

[2] Zobacz wiersz *Inwokacja*, K. Iłakowicz, *Popiół i perły*, Warszawa 1930, s.154

[3] Z wiersza *Tamtejsze dzieci*, W: *Popiół i perły*, Warszawa 1930, s.76.

[4] *Matylda Welna, Wierność życiu*, s.5 i 16, W: *Kazimiera Iłakowiczówna, Poezje. Wybrała i wstępem opatrzyła Matylda Welna*, Lublin 1989.

[5] *Pisano o tym w "Kobiecie współczesnej"*, Warszawa 1930, nr 8, s.5. "Bogactwo uczucia i fantazji stawiają Iłakowiczównę na czele współczesnych poetów i poetek. Zdumiewająca jest bogata skala uczuć, których wyraz coraz to inny, znajdujemy w jej lirykach. O szerokości skali talentu autorki świadczą też jej prześliczne wiersze dla dzieci, tak znakomicie przystosowane do tkwiącej w duszy dziecka potrzeby poetyzowania życia otaczającego."

[6] "Kobieta współczesna", op. cit.

[7] *Józef Ratajczak, Lekcje u Iłakowiczówny*, Poznań 1987, s.8-9.

[8] *Kazimiera Iłakowicz, Niewczesne wynurzenia*, Warszawa 1958, s.7-8.

[9] *Tamże* s.22.

[10] *K Iłakowiczówna, Popiół....*, op. cit. s.26-27 „Zobacz: *Józef Ratajczak, Lekcje....*,op. cit. s.29.

- [11] "Przegląd Współczesny", Kraków 1931, t.37, R.X, nr 108, nr 144-145.
- [12] K. Iłakowiczówna, *Popiół*..., op. cit. s. 72.
- [13] Stefania Podhorska Okołów, *Popiół i perły*, W: "Bluszcz", Warszawa, 1930, nr 7, s.11.
- [14] K. Iłakowicz, *Popiół*, op. cit. s.46.
- [15] Choć w "Czasie" wydawanym w Warszawie z 1930 roku, nr 76, napisano: "W otwierającym tom *Dom nasz*, dała poetka głęboko odczute, choć tu niekiedy wyjątkowo może zbyt rozlewne, wspomnienia z "kraju lat dziecięcych".
- [16] Wiersz z tomiku K. Iłakowiczówny, *Popiół*..., op. cit., s.48.
- Nad jeziorem - aleja lipowa:/ tam mieszka Pani Piotrowiczowa./ Dwór miała rozłożysty, sad wielki i stromy,/ kiedykolwiek się przyszło, zawsze była w domu:/ nastawiała konfitur na białej serwecie/ i mówiła " To dla was ,dzieci. Jedzcie....Jedzcie!"
- [17] J.E. Skiński, *Poetka Gorzkich Uniesień, Kazimiera Iłakowiczówna, Laureatka Nagrody Wilna*, W: "Tygodnik Ilustrowany", Warszawa 1930, nr 11, s.205.
- [18] "Przegląd Literacki", Warszawa 1930, nr 3, s.2.
- [19] K. Iłakowiczówna, *Popiół* ..., op. cit. s.32.
- [20] Kazimiera Iłakowicz, *Niewczesne*.... op. cit. s.5.
- [21] K. Iłakowicz, *Popiół*.... , op. cit. s.4.
- [22] Wilhelm Szewczyk, *Posłowie do Wierszy Wybranych K. Iłakowiczówny*, Łódź, Poznań 1949 , s.278.
- [23] K. Iłakowiczówna, *Popiół*..., op. cit., s. 37.
- [24] K. Iłakowicz, *Trazymeński zajac*, op. cit. s.136.
- [25] Tamże. s. 137
- [26] *Fraulein Ewla Spalwink była pierwszą boną." Myślałam , że jest w moim życiu czymś wiecznym."*- pisała Iłakowiczówna we wspomnieniach. Z nią właśnie Iłła chodziła pracować na cmentarz. Zobacz: K. Iłakowicz, *Trazymeński zajac*....., op. cit., s.136
- [27] Co wyraźnie widać w wierszu *Poziomki*, gdzie zamiast o poziomkach słyhać i widać komary oczekujące na swój łup.
- Dojrzewają jagody,/ komary lecą od wody,/ lecą chmurą, zbite w kupę,/ lecą wężem, lecą słupem,/ zwijają się wiankami, wiankami,/ czekają na dziewczęta z dzbankami.*
- [28] K. Iłakowiczówna , op. cit. s.138.
- [29] Krzysztof Dybciak , op. cit. s.51.
- [30] Podobne wrażenie robi proza Bolesława Limanowskiego, polityka, historyka i publicysty, urodzonego w powiecie dyneburskim, która opisuje ojczysty kraj z połowy XIX wieku. Wrażliwość na piękno krajobrazu widać w jego pamiętnikach. Częste podróże z domu do szkoły, czy na studia pozwoliły Limanowskiemu na poznanie ziemi łotewskiej, a kiedyś polskiej. Dużo miejsca poświęca opisowi Polaków , rodziny, ale wspomina także o innych mieszkańcach ziemi rodzinnej. Więcej zobacz u B. Limanowski, *Pamiętniki (1835-1870)*, Warszawa 1937.
- [31] Zwrócił na to uwagę również Krzysztof Dybciak , op. cit..s.54.
- [32] K. Iłakowiczówna , *Niewczesne wynurzenia*, op. cit., s.23.
- [33] K. Iłakowiczówna, *Popiół*....., op. cit, s.53
- [34] K. Dybciak , op. cit. s.54.
- [35] "Bluszcz" , op. cit. , s.10.
- [36] "Przegląd Literacki", 1930, nr 3, s.2

Zbigniew Herbert
List do studentów PWST

Drodzy Nieznajomi!

Jesteśmy dość osobliwą, małą, skłóconą gromadką, bez której prześwietna ludzkość może się doskonale obejść. Jesteśmy beznadziejną mniejszością, i co gorsze uzurpujemy sobie prawo do wzniesienia niepokoju. Chcemy zmusić naszych bliźnich do refleksji nad ludzkim losem, do trudnej miłości jaką winni jesteśmy sprawom wielkim, także pogardy dla tych wszystkich, którzy z uporem godnym lepszej sprawy starają się człowieka pomniejszyć i odebrać mu godność. Czeka Was życie wspaniałe, okrutne i bezlitosne. Bądźcie w każdej chwili, w każdym wypowiedzianym ze sceny słowie po stronie wartości, za pięknym rzemiosłem, przeciw tandecie, za nieustającym wysiłkiem woli i umysłu, przeciw łatwej manierze, za prawdą, przeciw obłudzie, kłamstwu i przemocy. I nie bądźcie na litość Boską nowocześni. Bądźcie rzetelni. Hodujcie w sobie odwagę i skromność. Niech Wam towarzyszy wiara w nieosiągalną doskonałość i nie opuszcza niepokój i wieczna udręka, które mówią, że to co osiągnęliśmy dzisiaj to stanowczo za mało. Życzę Wam trudnego życia, tylko takie godne jest artysty. Dla Was dobre myśli, pozdrowienia i słowa nadziei...

Zbigniew Herbert
Warszawa, 12 stycznia 1995 roku

Gustawa Holoubek
Wspomnienia z niepamięci (fragment)

Wojna utonęła mi w niepamięci. Pozostały tylko plamy pamięci ułożone fabularnie, ale bez ciągłości. Poszedłem na tę wojnę na ochotnika, jak moi najbliżsi koledzy. Dostaliśmy mundury przysposobienia wojskowego, karabiny - angielskie remingtony z przeziernikiem, pasy z amunicją - te były przedmiotem największych ambicji, byli tacy, co się nimi opasywali kilka razy, i ruszyliśmy. Przydzielono nas do 20. pułku piechoty jako coś w rodzaju kompanii pomocniczej. Tuż przed wyjazdem wróciłem jeszcze do domu, żeby pożegnać się z matką. W pełnym rynsztunku, przepełniony uczuciem opiekuństwa przytuliłem się do niej. Mówiła: "Co ty robisz? Co ty robisz?" - i płakała. Szliśmy na wschód. Przez Puszcę Niepołomicką, Tarnów, Rzeszów, Przeworsk, Jarosław, Rawę Ruską. Ósmego września dotarliśmy do Lwowa. Po drodze była pogoda tak piękna, że najstarsi ludzie takiej nie pamiętali. Wzdłuż szosy wypełnionej po brzegi uciekinierami, wozami, końmi, resztkami wojskowych oddziałów, rozciągały się niekończące się pola, płaskie, szare, pozbawione roślinności, częściowo zaorane, jak to we wrześniu. Nie służyły one dobrze, bo w czasie nalotów, a było ich kilkanaście, niskich, koszącym lotem prowadzonych, nie było gdzie uciekać przed seriami karabinów maszynowych. Na stacji kolejowej w Jarosławiu stoczyliśmy pierwszą bitwę z wysuniętym patrolem niemieckim. Strzelało się ochoczo do niewidocznych Niemców, żeby pod presją przewagi ich ognia uciec wzdłuż odnogi głównej trasy kolejowej. Biegliśmy w kierunku północnym. Jak się potem okazało, dopiero po dobrych kilku kilometrach trafiliśmy na pustą stacyjkę kolejową. Na torze stała stara wygasła lokomotywa z przyczepionym do niej wagonem towarowym. Znalazł się uciekający razem z nami kilkuosobowy szczątek plutonu saperów kolejowych i rozpoczęliśmy rozbieranie drewnianych budynków stacyjki - było to jedyne paliwo. Saperzy rozpalili w kotle lokomotywy i z jakim takim zapasem drewna ruszyliśmy w nieznaną. Nikt z nas nie wiedział, dokąd jedziemy, na ile starczy torów. Zbliżał się wieczór i w tej szarzejącej widoczności podróż zaczynała być rzeczywiście upiorna. Ale osiągnęliśmy wreszcie stację prawdziwą, dużą, zapełnioną tłumem ludzi - była to właśnie Rawa Ruska. Noc zastała nas już w świńskich wagonach prawdziwego pociągu, zdążającego do Lwowa.

Było nas już tylko dziewięciu. Pierwszy i ostatni raz zobaczyłem Lwów. Kotłowało się w nim wówczas około dwóch milionów ludzi. Wszystkie wspomnienia lwowiaków, wszystkie opowieści o urokach tego miasta, piękne o nim piosenki są niczym w porównaniu z tym, czym to miejsce było w rzeczywistości. Jednym prostym słowem można je nazwać: Lwów składał się z serca. Nie z domów, nie z ulic ani otaczających go wzgórz - z serca. Bo cóż innego można powiedzieć o mieście, w którym w momencie przekroczenia jego rogatki czujesz, że nigdy z niego nie wyjeżdżałeś. W którym każdy przechodzień jest twoim starym znajomym i zanim zwrócisz się do niego z czymkolwiek, on uprzedza twoje życzenie, nie ograniczając się tylko do informacji, ale poszerzając ją o troskę i gotowość służenia ci we wszystkim. Na miasto spadł kataklizm. W ciągu jednego tygodnia pięciokrotnie powiększyło liczbę swoich mieszkańców, a mimo to wyglądało tak, że te tysiące przybyłych tu zdeorientowanych ludzi, szukających dróg ucieczki, mogły w równym stopniu nie ruszać się nigdzie. Lwów był gotów na ich przyjęcie.

Nas przygarnęła w swoim pięknym domu pewna hrabina, do której skierowała nas organizacja opiekująca się takimi właśnie jak my. Pani hrabina nie tylko udzieliła nam noclegu, ale jeszcze karmiła. A był razem z nami chłopak, który miał talenty organizacyjne, w każdym miejscu potrafił się znaleźć, z każdej opresji znajdował wyjście. W dodatku, co przy tego rodzaju uzdolnieniach nie idzie na ogół w parze, był dystraktem. Wszelki nadmiar wytracał go ze skupienia i powodował chwilową utratę poczucia rzeczywistości. Było rzeczą całkowicie zrozumiałą, że pani hrabina jego właśnie uczyniła odpowiedzialnym za zachowanie naszej grupy. Trzeciego dnia pobytu pani hrabina siedziała sobie na krześle dokładnie na środku salonu, dla wygody jej podopiecznych ogołoconego z mebli. Południowe słońce padało właśnie na jej zasnętą twarz. Rozmawiała z nami wytwornie, kiedy nagle drzwi się gwałtownie otworzyły i wpadł nasz zaaferowany organizator. Stał dokładnie przed panią hrabiną i trochę nieprzytomnie w nią wpatrzony powiedział: "Obiadów dzisiaj po skurwysynie". Trwał tak jeszcze przez chwilę, po czym zamyślony do bólu, trochę somnambulicznie, nie traftając za pierwszym razem w drzwi, opuścił salon. Zdawało nam się, że wszystko się skończyło, że całą naszą pracę nad dobrym wychowaniem w jednej chwili szlag trafił. Ale pani hrabina była lwowianką. Nie tylko nie usłyszała tego, co powiedział kolega - hrabiny mają to do siebie, że nie słyszą takich wypowiedzi - ale jeszcze od tego dnia do naszych obiadów dodała kolacje. W chaosie tych dni na próżno staraliśmy się dotrzeć do oddziałów dywizji dowodzonej przez generała Sosnkowskiego. Informacje o ich pobycie były tak sprzeczne, że w końcu ulegliśmy ogólnej atmosferze ucieczki, która wówczas nakazywała wycofywanie się na wschód. Do końca mieliśmy nadzieję na dołączenie do jakiegoś zgrupowania będącego częścią strategicznej konsolidacji sił. Kilkanaście kilometrów za Lwowem doszło do podzielenia się naszej dziewiątki. Ciągłe niejasno informowani o domniemanych ruchach naszych wojsk stanęliśmy przed wyborem drogi na Tarnopol albo na Stanisławów. W czwórkę ruszyliśmy na Tarnopol, reszta poszła na Stanisławów, i to oni właśnie znaleźli się potem w Londynie. My utknęliśmy w Złoczowie i tam przywitała nas wkraczająca do Polski armia radziecka. Wykonaliśmy w tył zwrot i ruszyliśmy z powrotem. Ta wędrówka jest dla mnie niejasna. Wiem tylko, że wracaliśmy do końca września przez jakieś ukraińskie już wsie, wsie niebezpieczne, gdzie tylko posiadanie broni chroniło nas od poważnych zagrożeń. Znowu przez Lwów dotarliśmy wreszcie do Przemyśla. Nikt na nas nie czekał. Nikomu nie byliśmy potrzebni. Już bez broni, w drelichowych mundurkach, schroniliśmy się w seminarium duchownym. Tamte dni w jednej z cel seminarium w atmosferze bezradności i głodu stały się naszą, szesnastoletnich chłopców, prywatną klęską. Wtedy nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, było nam tylko głodno i bardzo smutno, ale ten krótki przystanek musiał zaważyć na naszej świadomości.

Zjedliśmy tam dwa koty i psa. Naprawdę. Nie było innej rady. Nie mieliśmy pieniędzy i żadnych szans przejścia przez San. W tamtych dniach utrwalił się we mnie tylko pewien zapach, zapach pieczonego, gorącego jeszcze chleba. Trzeba było o drugiej, trzeciej w nocy stanąć w ogonku przed zamkniętymi jeszcze drzwiami piekarni, żeby mieć szansę na jego zakup - sukces otrzymania go nie dał się z niczym porównać. Zapach tamtego chleba, bo potem już żaden inny tak nie pachniał, został mi do końca życia.

Waldemar Łysiak Granica

Dwie modne ostatnio książki historiozoficzne, reklamowane jako prekursorskie i odkrywczе, wcale takimi nie są. „Śmierć Zachodu” Patricka J. Buchanana – dzisiaj bardzo łatwa do głoszenia ze względu na mnóstwo dowodów i nieprzebraną ilość eseistyki bądź publicystyki treściowo analogicznej – została wyprzedzona (w sposób quasi-proroczy) o prawie sto lat przez „Upadek Zachodu” Oswalda Spenglera. Podobnie Samuel P. Huntington, autor rozpatrujący nieuchronność napięć między cywilizacjami („Zderzenie cywilizacji”), ma swego dalekiego prekursora w Polaku Feliksie Konecznym, którego kilka prac (zwłaszcza „O wielości cywilizacji”, 1935) głosiło tezę, iż różnica norm moralnych, kulturowych i religijnych między cywilizacjami (różne pojmowanie dobra i zła, bądź edukacji i estetyki, oraz różne wizje Boga, człowieka i świata) wyklucza nie tylko ich syntezę, zbliżanie się czy przenikanie, lecz nawet pokojową koegzystencję między nimi.

Dlaczego o tym nadmieniam? Albowiem trwająca już pewien czas „wojna rusko-polska” (w której kagiebiści Putin zadaje ciosy mniej lub bardziej wyrafinowane, a jego marionetka Łukaszenko wali równo cepem) jest przez naszych komentatorów traktowana jako starcie li tylko polityczne (dyplomatyczne) i okazjonalne, podczas gdy moim zdaniem jest to kolejna wojownicza erupcja ciągłego starcia między cywilizacjami, których kompatybilność zawsze była zerowa, pasowały do siebie jak pięść do nosa, tout court.

Cywilizacji, która objęła Wielkie Księstwo Moskiewskie, Rosję carską, wreszcie Rosję sowiecką – Koneczny dał miano „cywilizacji turańskiej” (bandycko agresywnej, nieustannie szarpiącej Polskę, katolickie przedmurze Zachodu), dowodząc, iż pokojowa współegzystencja była tu tak trudna, że właściwie niemożliwa. Słusznie stwierdza Artur Adamski: „Na niepowodzenie skazane były więc podejmowane na początku XVII w. próby zbliżenia Rosji z Rzeczpospolitą. Z powodu jaskrawych różnic cywilizacyjnych nie mogła przynieść większego skutku cerkiewna unia brzeska z 1596 r. Nie mogły się udać również próby porozumienia z Kozakami, którzy jako przykład woleli podległość Chanatowi Krymskiemu, niż ułożenie się z Rzeczpospolitą. Beznadziejne musiały się też okazać cele polityki Czartoryskich – dążących na początku XIX w. do połączenia tronu rosyjskiego z polskim”. Rzeczywiście – nic tu nie mogło się udać prócz wzajemnego mordobicia i późniejszej satrapii zwycięzców, czyli niewolenia narodu, w którym jednostka miała prawa obywatelskie, przez cywilizację, w której jednostka zawsze była niczym. Mimo że i katolicyzm, i prawosławie hołdowały tego samego Boga i Matkę Bożą – granica między nimi była zawsze granicą międzycywilizacyjną; po jednej stronie kultura (cywilizacja łacińska), po drugiej – barbarzyńska despotia, dzicz. Obecnie ta granica leży na Bugu.

Rusofilstwo (będące dywersją, sabotowaniem polskiej i cywilizacyjnej racji stanu) zrodziło się wśród polityków Rzeczypospolitej w wieku XVIII. Czartoryscy, Potoccy (zwłaszcza Szcześny), Branicki, Stanisław August, Targowica et cetera. W kolejnym stuleciu carat szerzył przez swych agentów ideę tzw. „braterstwa Słowian”, będącą wabikiem dla naiwnych. Skuteczność tej propagandy okazała się duża (exemplum „słowianofile” czescy – prof. Hanka i inni). U Polaków, jej apogeum stanowiła towiańszczyzna – działalność (w kręgach Wielkiej Emigracji) petersburskiego sekciarza, Andrzeja Towiańskiego, którego promoskiewską agenturalność udowodniłem eseistycznie już wiele lat temu. Jego największym sukcesem było – niestety – skaptowanie Adama Mickiewicza. Symboliczny jest listopada 1844r., gdy Mickiewicz podczas zgromadzenia paryskiego namawiał rodaków, by wystosowali wiernopoddanych „Adres do cara”. Krzyczał:

- Bracia, dziś ukazał mi się duch cara Aleksandra, prosząc, byśmy się za niego modlili!

Wówczas zerwał się Słowacki, ripostując:

- A mnie, bracie, ukazał się duch Stefana Batorego, przestrzegając, byśmy się nie modlili w intencji

żadnego Moskala!

Usłyszawszy to, Mickiewicz dostał furii, chwycił ramię Słowackiego i brutalnie wyrzucił go za drzwi, rycząc po rosyjsku:

- Paszoł won, durak!

Po czym przeforsował wystosowanie haniebnego „Adresu” do cara. Smutne to.

gorzej niż smutne, bo nikczemne, są wszelkie próby lizania kremłowskiego tyłka (notabene – nie tylko kompromitujące zawsze, lecz i nie dające sukcesu, o czym prezydent Kwaśniewski przekonał się już któryś raz). Prawda jest taka, że wszelkie rusofilstwo – od osiemnastowiecznych działań „familii” Czartoryskich, paskudnego „króla Stasia” i targowiczian, przez dziewiętnastowieczną towiańszczyznę i dwudziestowieczną wschodnią orientację endeków tudzież komunistów, po rusofilski zapal salonowych renegatów typu Drawicza (notabene konfidenta peerelowskiej bezpieki) – było wobec polskiej racji stanu działalnością kryminalną par excellence. I taka będzie każda następna próba umizgów (Zachód ostatnio boleśnie przekonuje się ile warte są umizgi wobec muzułmańskiej cywilizacji). Te cywilizacje nie pasują do siebie – nigdy nie będą klockami lego.

Waldemar Łysiak Koniaczek

Gdyby jakiś historyk zechciał napisać rozprawę o piętnowaniu przez komunę Powstania Warszawskiego, i gdyby wykorzystał wszystkie komunistyczne źródła (wszystkie teksty–plwociny z gazet PRL-u) – ta praca liczyłaby tomów legion. Teza generalna brzmiała: maniacy (vel: szaleńcy, politykierzy, reakcyjni sługusi emigracyjnego Londynu, itp.) z wierchuszki akowskiej, chcąc za wszelką cenę wyprzedzić Armię Czerwoną, pchnęli rzesze młodych, naiwnych, otumanionych patriotów do beznadziejnej walki, która zakończyła się samobójczą rzezią, łatwo przewidywalną hekatombą, plus anihilacją miasta, co razem było zimną prawicową zbrodnią na ludności nieszczęsnego grodu. Wokół takiej wektorowej tezy tabuny usłużnych historyków i publicystów rozwijały niuansowo biadolonia a propos karygodnej, nonsensownej „bohaterszczyzny” polskich „reakcyjnych kół”. Tak co roku przez kilkadziesiąt lat. Jedyne kłopot: natrętna powtarzalność tych samych argumentów. Coroczne mielenie tych samych zarzutów – używanie tych samych pałek spadających na głowy inspiratorów i przywódców Powstania – było ciemniem opluwaczy. Jakże więc ucieszyła się czerwona „Polityka”, gdy w roku 1987 dostarczono jej nieznaną tekst Czesława Miłosza ze świeżym (nieeksploatowanym tak górnolotnie wcześniej) batem chłoszczącym powstańczą „góre”.

Miłosz zawsze był lewicowcem, a przez wiele lat komunistą, co tłumaczył tym, iż „komunizm to fascynująca przygoda intelektualna” (sic!). Na łamach „Rodzinnej Europy” deklarował, iż brzydzi go „kurczowy patriotyzm Polaków”, zwłaszcza kiedy jest podszyty religijnością, bo wiara katolicka to „gleba snów paranoicznych” („Prywatne obowiązki”). Szczególnie idiotyczną paranoją była dla noblisty wszelka walka powstańcza, czy choćby tylko wojna ojczyzniana (nawet zwycięstwo grunwaldzkie przezwiał „plugawym nonsensem”). Waleczność patriotyczną określał jako „powiązany system narodowej paranoi” („Życie na wyspach”), dodając: „Polaków, umiejących myśleć tylko politycznie, mam w dupie” („Zaraz po wojnie”). Miał ich w dupie jako Litwin – ciągle zaznaczał, że nie jest Polakiem, tylko stuprocentowym Litwinem (m. in. w radiu francuskim przedstawił się: „Jestem Litwinem, który pisze po polsku”). Ja go rozumiem – nikt nie chce być świnią. A według Miłosza: „Polak musi być świnią, ponieważ się Polakiem urodził” („Prywatne obowiązki”). Nie chcąc być świnią – Miłosz nie był entuzjastą Armii Krajowej i Powstania Warszawskiego. Przeciwnie – opluwał AK jako drastyczny przejaw polskiej „paranoi nacjonalistycznej”. Pisał m. in.: „Warszawa okupacyjna była dla mnie miejscem i czasem spotkania

z polskim nacjonalizmem w jego najwyższym natężeniu, kiedy to występował wyłącznie jako patriotyzm, którego nikt nie ma prawa krytykować” („Rok myśliwego”); „Moja niechęć do przywódców AK była silna (...), cały konspiracyjny aparat żył nierealnością, ponieważ w sobie pompował narodową ekstazę” („Rodzinna Europa”); et cetera, et cetera. Akowskiemu kultowi patriotyzmu (zwanemu przez Miłosza „moczopełnym środkiem narodowym” – wiersz „Toast”) noblista przeciwstawiał rozsądną („bierną”) kolaborację z okupantem, dając przykłady narodów, które bardzo dobrze wyszły na uległości wobec okupantów.

Wspomniany tekst Miłosza, który „Polityka” publikowała roku 1987, został odkryty w archiwum chełmskiej Biblioteki Wojewódzkiej. Autor napisał go odręcznie na firmowym blankiecie przedsiębiorstwa hitlerowskiego, prawdopodobnie A. D. 1945, bo rok później pracował już w Waszyngtonie jako bierutowski (vulgo: stalinowski) dyplomata. Cały ów rękopis jest diagnozą – diagnosta Miłosz wskazuje nim główną pejoratywną cechę Polaków, a zwłaszcza ich wrednych narodowych przywódców: nieczułość. Zwierza się, iż często „zaciskał bezsilnie pięści patrząc na przejawy polskiej nieczułości”. Choćby nieczułości mieszkańców Warszawy wobec dramatu getta. Aczkolwiek nie wpadł na pomysł, na który wpadła kilkadziesiąt lat później „Gazeta Wyborcza” (że za Powstania Warszawskiego akowcy parali się głównie dobijaniem resztek Żydów), lecz pomysł z karuzelą też jest przedni: „W ustosunkowaniu się Warszawy do getta była i niechęć, i współczucie, i wstyd, i antysemityzm. Nad wszystkim górowała jednak bezmyślna nieczułość. Te karuzele pełne śmiechu, obracające się w dymach płonącego obok getta...”. Kalumnię karuzelową noblista sprzeda później całemu światu wierszem „Campo di Fiori”.

Bardziej wylewnie rozpisuje się Miłosz w owym tekście na temat nieczułości przywódców narodu, piętnując zwłaszcza nieczułość wodzów Sanacji przedwojennej i nieczułość dowódców Powstania Warszawskiego. Ci ostatni bowiem bezlitośnie wysyłali na śmierć gromady „młodych kurierek roznoszących gazetki pełne bzdur”, a w przerwach między wysyłaniem balowali po kawiarniach: „Zamawiali koniak i mówili: «ofiary muszą być»”. To wszystko. Naprawdę nie koloryzuję – karcąc Powstanie Warszawskie Miłosz daje aż trzy dowody hańby patriotycznego zrywu: śmierć „młodego filozofa” (który mógłby filozofować, miast głupio walczyć), rzeź kurierek roznoszących idiotyzmy, tudzież kawiarnianą, podlewaną koniakiem „nieczułość ich zwierzchników”, którzy wznosząc toasty bełkoczą: „ofiary muszą być”.

Paranoja miłoszowa kontra „powiązany system paranoi narodowej”. Panie starszy, koniaczek jeszcze raz! A ofiary, kurwa, muszą być, to chyba jasne! Słoneczko, weź te meldunki i przenieś kanałem do Śródmieścia! My tu jeszcze trochę posiedzimy na Starówce. Panowie oficerowie, no to siup, nasze kawalerskie!

Józef Mackiewicz

Lewa wolna (fragment)

- Wacek! Co będziemy robili po wojnie? Kończy się już.
 - Cośkolwiek, będziemy. - Leżał na wznak, mrużąc oczy.
 - Ładnie tu, świeżo. A jednak - wciągnął powietrze nie pachnie tak jak u nas.
 - U nas trochę inny klimat. - I nagle podniósł się, wsparł na łokciu. - Powietrze, mówisz... Naturalnie, u nas inne. Ale czy dadzą w nim żyć? W pejzażu tym samym.
 - Jakto, pejzażu?
 - Mówił mnie jeden mądry człowieczek, jak byłem jeszcze w konserwatorium: są trzy rodzaje patriotyzmu. Patriotyzm narodowy, patriotyzm doktryny i patriotyzm pejzażu. Narodowy interesuje się tylko ludźmi zamieszkującymi dany pejzaż, ale nie pejzażem. Doktrynalny, ani ludźmi ani pejzażem, tylko zaszczepieniem doktryny. Dopiero patriotyzm pejzażu, mówił ten człowieczek, obejmuje całość, bo i powietrze, i lasy, i pola, i błota i człowieka jako część składową pejzażu.
 - No, i?
 - No i, jak to tobie wytłumaczyć. Na przykładzie: narodowi patrioci, na przykład, dla nich największe szczęście ludzkości, żeby jak najwięcej ludzi mówiło koniecznie tym językiem, ale broń Boże nie innym. Albo gdzie na rynku stał kościół, postawić cerkiew. Albo: gdzie stała cerkiew postawić przekonanie kościół. Zębami gotowi ściana szarpać. A dla niego - mówił - czy włoski barok, czy bizantyjska kopuła, i minaret i synagoga, tak samo należą do pejzażu, jak jezioro, czy rzeka, czy rynek przy którym stoją. I czapki, które zdejmują ludzie wchodząc do świątyni, czy właśnie nie zdejmując. A jak ty wszystkim wronom każesz krakać pod batutę, i liście na drzewach przykroisz w jeden wzór, to co zostanie z pejzażu? Jadę, ot w pochodzie, i przypominam: znałem takiego malarza-patriotę. Ach, powiadał on, jak ja nienawidzę tych "rosyjskich brzóz i topoli" w motywach! Ja bym, powiada, wyrąbał u nas wszystkie brzozy i topole. No i wyrąbałby. Odłożył pędzel, wziął siekiere do ręki. I dysz tu świeżym powietrzem.
 - No, a doktrynalny patriotyzm?
 - To samo. Tylko narodowi chcą bądź co bądź przystroić jeszcze naród. A ci, już tylko maszynę.
 - Poczekaj... Sto lat temu pociąg nie należał do pejzażu, a dziś należy. I słupy telegraficzne przy drogach.
 - Masz rację... - Wacław podrapał się w głowę, spychając czapkę na oczy. - Naturalnie, że masz rację. Dużo trzeba jeszcze przemyśleć, ale czasu brakuje. I zresztą psu na budę. Ja tak sobie tylko... No, rozmawiamy z tobą w tej chwili tylko o... powietrzu.
- Karol wciągnął go znowu do płuc.
- O tym co było, i co będzie? - powiedział.
 - Coś w tym rodzaju - przytaknął Ruczetta.

Józef Mackiewicz Nudis Verbis

I

Zachodzi zasadnicza różnica w podejściu do sprawy służenia ojczyźnie w czasie wojny pomiędzy różnymi krajami, na przykład pomiędzy Anglią a Polską. W Anglii wojskowy, który był w cywilu listonoszem, urzędnikiem, szewcem czy dyrektorem opery, po ukończeniu wojny powraca do swego zawodu i usiłuje w dalszym ciągu być dobrym szewcem czy dobrym dyrektorem opery. Wręcz przeciwna tradycja zakorzeniła się w Polsce. Niejeden kto u nas na wojnie strzelał dobrze z ckm, odniósł rany czy narażał życie, z tego właśnie tytułu domaga się beneficjów wykraczających poza ramy przewidziane statutami armii w postaci orderów i rang, a - żąda wpływu na politykę, na prasę, czasem materialnych synekur, narzuca hegemonię w użyciu formy pluralis maiestaticus: "my!" Nie bardzo jest to tradycja fortunna. Albowiem oficer, który potrafił kierować bitwą, nie zawsze potrafi kierować koncernem przemysłowym, albo redakcją wpływowego w kraju czasopisma. Ta zasadnicza różnica pomiędzy tradycją polską a wybraną tu przykładową angielską, wydaje mi się wynikać z odmiennej interpretacji służby wojskowej jako "zasługi" wobec ojczyzny, w odróżnieniu od "obowiązku" wobec ojczyzny. Ta druga interpretacja jest niewątpliwie słusniejsza, zgadza się też za równo z duchem, jak literą ustaw "o obowiązkowej służbie wojskowej". A że przy wypełnianiu tego obowiązku naraża się własne życie, albo umiera, tego żadne ludzkie prawo ani przepisy zmienić dotychczas nie potrafiły i wątpić należy, czy kiedykolwiek zmienić będą w stanie.

Interpretowanie walki za ojczyznę jako "zasługi" osobistej bardzo wyraźnie podkreślały w Polsce tzw. koła legionowe. Legioniści śpiewali "My, pierwsza brygada...", a później ciągle, z dużą dozą dokuczliwego uporu, narzucali to swoje "my" cywilnemu życiu całego społeczeństwa. Podobne tradycje usiłują dziś, w nieusprawiedliwiony sposób, odnowić niektóre sfery kierownicze naszego AK i politycznych "autorytetów" walki podziemnej. Nieusprawiedliwiony dlatego, gdyż zapominają o nieodzownych warunkach wymaganych przy narzucaniu owego "My": a mianowicie efektywnego rezultatu w odzyskaniu czy obronieniu niepodległości. Tymczasem pomiędzy tzw. sferami legionowymi, które wyszły z tamtej wojny, a sferami naszego Resistance, które wyszły z tej wojny, zachodzi bardzo zasadnicza różnica. "Legionistom" ludzie najbardziej nawet niechętnie do nich usposobieni, do których i ja należałem, mogli dużo zarzucić, ale nie mogli im odmówić jednego, że mianowicie walnie się przyczynili do zwycięstwa i odrodzenia Polski. Bez względu natomiast, co by się powiedziało o kierownikach naszego Oporu podziemnego, niepodobna zaprzeczyć jednemu, że mianowicie walnie się przyczynili do naszej klęski. A upieram się przy tym, że klęska, która spotkała Polskę, należy do największych na przestrzeni Jej dziejów.

Stwierdzenie tego faktu w niczym nie pomniejsza bohaterstwa walczących żołnierzy polskich, czy to w podziemiu, czy na ziemi swojej i obcej, ani hołdu oddawanego tym, co zginęli na frontach, w więzieniu, w obozach, pod pałkami okupantów. Ale z powyższego nie wynika, że ma to umniejszyć odpowiedzialność ich kierowników za klęskę. Gdy generał Samsonow w r. 1914 wpakował wiele korpusów w bagno klęski, nie przyszło mu na myśl usprawiedliwiać się - liczbą zabitych żołnierzy... Ani tym, że kazał im strzelać, czy że sam strzelał, a - strzelił sobie w łeb.

Jakkolwiek odległa może się wydać ta analogia, nie jest rzeczą słuszną, że niektórzy panowie u nas, zamiast przyznać się do błędów i usprawiedliwiać w jaki bądź sposób po kompletnym bankructwie ich koncepcji politycznych, ośmielają się, tak jest: ośmielają się, nie tylko narzucać swoje "My" całosci narodu i uzurpować sobie prawo do rozdawnictwa patentów na patriotyzm, wytyczania linii "czystości życia" politycznego, ale - zgłaszać pretensje do kontynuowania swego kierownictwa politycznego. Zdawałoby się, iż podobne zgłoszenie nie może być nigdy potraktowane poważnie

przez naród dotknięty klęską, a więc zmuszony do analizy i rewizji swego postępowania w przeszłości, do szukania nowych dróg, a więc i nowych ludzi w przyszłości. Tymczasem w ostatnich czasach mamy do zanotowania szereg wystąpień publicznych tzw. "autorytetów" naszej b. konspiracji, które potraktowane zostały w sposób budzący zaniepokojenie, jakoby ta resztki Polski, która pozostała niezależna od najeźdźcy, nadal zamierzała tym "autorytetem" być posłuszna i podlegać ich dyrektywom.

Chwilami wydaje się doprawdy, iż fatum, które nas prześladowe, przybiera postać jakiegoś koszmaru, jest jakimś złym snem, który się nie kończy, z którego niepodobna się obudzić, ani otrząsnąć.

Ktoś wreszcie musi powiedzieć prawdę

Sprawa nie może dłużej leżeć odłogiem. Nie można ciągle koło niej chodzić z palcem na ustach, zachowując tę ciszę, jaka przynależna jest stapaniu wśród majestatu grobów poległych. Jeżeli kwiaty zasadzone na tych grobach nie zdążyły jeszcze pożółknąć ani powiędnąć, nie zmienia to faktu, że ci, którzy je skrapiają łzami i pielęgnują w pamięci, chcą i muszą żyć. Dlatego wydaje mi się, iż dobrze się stało, że rzecz została sprowokowana, gdyż doniosłość ówczesnych wydarzeń ma pierwszorzędne znaczenie dla oceny, dla diagnozy politycznej naszej klęski, a bez ścisłej diagnozy nie może być środków zaradczych. Zdawało mi się, iż winien ją poruszyć bardziej może kompetentny spośród tych, którzy rzeczywistość w kraju za okupacji niemieckiej widzieli i przeżyli; że zechce wreszcie powiedzieć, dlaczego tak się stało, jak to się stało, jak to się stać mogło, że kraj przyjął obecne moralne ze, które niejednego przyprawia o dreszcz, a prawie wszystkich wprawia w zdumienie. Ktoś wreszcie to powiedzieć musi.

W jednej wielkiej tragedii Polski zwały się trzy klęski: klęska militarna, klęska polityczna i klęska moralna. Przyczyny pierwszych dwóch omówione były dokładnie i są nadal dyskutowane z niewątpliwym pożytkiem dla naszej przyszłości. - Klęska moralna kraju wydaje mi się wszakże najbardziej zasadnicza. Widmo "radzieckiej" Polski, nie tylko w jej sowieckiej formie i zewnętrznych granicach, ale wewnętrznej treści, straszne widmo sparaliżowanego bolszewizmem narodu, stoi u progu. Kto za ten wewnętrzny paraliż postępujący ponosi największą odpowiedzialność?

W odróżnieniu od stanowiska Lwowa i Wilna oraz większości prasy emigracyjnej, za największą winę kierowników naszego podziemia poczytuję nie straty w ludziach i dobrach materialnych w okresie oporu antyniemieckiego, nie powstanie Warszawy, o którym posiadam własny, odmienny sąd, a - kompletne, idealne niemal rozbrojenie moralne wobec najeźdźcy sowieckiego.

Imponujące, jak głaz z monolitu, solidarne stanowisko wobec okupanta niemieckiego, nie jest zasługą kierowników naszej konspiracji, a samych Niemców i ich tępacko-brutalnej polityki w pierwszej kolejności, na drugim miejscu zaś zdrowego instynktu całego narodu. To są fakty. I otóż w ciągu długich pięciu lat ten zdrowy instynkt samoobrony narodowej, w stosunku do drugiego najeźdźcy, najeźdźcy sowieckiego, podkopywany i podważany był systematycznie przez "autorytety" podziemia, w ślepym posłuszeństwie instrukcjom londyńskim.

Niesłusznie jednak, moim zdaniem, wyłączność winy przypisuje się agendom rządu na emigracji. Wina ta, acz można się spierać o jej stopień, spada również na odpowiedzialnych kierowników kraju. Ich obowiązkiem było raczej rzadziej zanurzać się w rozgrywki partyjno-osobiste, a częściej za to i rzetelniej informować Londyn o nastrojach kraju. O istotnym stanie tych nastrojów nie udało mi się czytać czy słyszeć dotychczas ani jednej relacji całkowicie prawdziwej. Czy ktokolwiek powiedział chociaż raz w Londynie, że nie wolno podszczywać kraju w pośredniej popularyzacji sowieckiego "sojusznika", gdyż kraj ten, zaszczyty przez Niemców, zalany optymizmem i ślepą

wiarą w Anglików, czekał bolszewików w 80 procentach jak zbawienia?! Podobnie jak oczekiwano Niemców na ziemiach wschodnich w r. 1941. Czy uprzedził kto, że wszelako metody sowieckie są tak dalece różne w swej perfidii i oddziaływaniu na psychosferę ludności od tępej brutalności metod niemieckich, że rezultat reakcji i formy rozczarowania będą zupełnie inne? Nikt tego nie powiedział, choć doświadczenie leżało na dłoni. Trudniono się natomiast wysyłką takiego materiału, który by potwierdzał i nagiął do linii generalnej, z góry narzuconej przez Londyn, jakkolwiek była ona w najoczywistszej sprzeczności z tym doświadczeniem.

Niemcy wkroczyli do Wilna dopiero w roku 1941, ale już po kilku miesiącach zorientować się było można, że, bez pomocy żadnej akcji podziemnej, metody ich wzbudzają totalną nienawiść ludności. Z tej strony zatem byliśmy asekurowani i o jakimś załamaniu na rzecz Niemiec mowy absolutnie być nie mogło. Natomiast zrodziło się niebezpieczeństwo inne, trudne do przewidzenia zawczasu. Stał się nim mianowicie fakt, że te same metody niemieckie niejako rykoszetem przetaczają się w źródło popularyzujące bolszewików jako wroga Niemców. Było to zjawisko najbardziej naturalnej reakcji, wynikające z prostej ludzkiej psychiki. Jeżeli niebezpieczeństwo to zagrażało krajowi, który tych bolszewików znał i ich panowanie przecierpiał, w jakże zwielokrotnionym stopniu zaciążyć musiało tam, gdzie ich znano aktualnie tylko ze słuchowisk radia londyńskiego...

Niebezpieczeństwo to potężniało i unaoczniało się z dniem każdym coraz bardziej. Przybrało zaś formy groźne pod wpływem nie tyle jawnej agitacji komunistycznej, do której ludzie odnosili się ciągle jeszcze i z reguły powściągliwie, ile nieinteligentnie prowadzonej własnej akcji podziemnej, która niebawem przeszła pośrednio lub nawet bezpośrednio do obozu probolszewickiego.

Dla uniknięcia wszelkich ewentualnych niedomówień, w obliczu faktu, że przez pewne sfery "autorytetów" naszej konspiracji, jak też agenturę sowiecką, zwalczany byłem w kraju i atakowany na emigracji w sposób często nie przebierający w środkach - chciałbym zaznaczyć tu własne stanowisko. Oto nie tylko nie wypieram się stawianego mi zarzutu, iż wyłamywałem się spod dyscypliny narzuconej przez władze podziemne, ale - dumny jestem i szcycę się tym, że dyscyplinie politycznej tych autorytetów nie uległem. Przeciwnie, przeciwstawiałem się jej wszędzie tam, gdzie tylko uważałem to za możliwe, celowe i słuszne.

W odpowiedzi znaleźli się oszczercy, którzy zarzucali mi współpracę w propagandzie niemieckiej, o czym obszerniej będę mówił poniżej. W tym miejscu chciałbym oświadczyć tylko co następuje:

Wszystko, cokolwiek pisano w prasie niemieckiej i jej propagandzie na ziemiach okupowanych, czytane było na opak. A zatem to, co pisali o bolszewikach złego, nie oczerniało ich w oczach czytelnika polskiego, a - wybielało. Czyli osiągało skutek odwrotny od zamierzonego. Pierwszy na to zwróciłem uwagę, pisałem o tym już z tuzin chyba razy na emigracji, wypowiadałem i głosiłem to tysiąc razy w kraju, za-równo ustnie, jak w wydawanych przez siebie drukach tajnych. Na tle tego oczywistego faktu, współpraca w pismach okupacyjnych była absurdem, nonsensem odwracającym cel. Są jednak dwa rodzaje najbardziej rozpowszechnionego terroru. Terror siły i terror jazgotu. W polityce mówi się wtedy o demagogii. Ale to, co uprawiały pewne osobistości w kraju w stosunku do swych przeciwników politycznych, bliższe jest miana jazgotu. Podobnie przekupka potrafi obalić najoczywistsze argumenty i najbardziej jasną logikę terkotem powtarzanych słów i pociągnąć za sobą cały rynek, jakkolwiek bezsensowne i nieartykułowane będą wykrzykiwane przez nią dźwięki.

Powszechne jest u nas narzekanie na warcholstwo i niezdiscyplinowanie społeczeństwa jako na wadę narodową. W tym okresie każde warcholstwo mogło prowadzić do katastrofy, ale posłuszeństwo niektórym "autorytetom" - prowadziło do katastrofy.

Prekursorzy "reżimowej" prasy

Gdybym miał w obrazie odmalować ówczesną tragedię polityczną kraju, przedstawiłbym naród w postaci pochodu, który z pieśnią na ustach, na przemian męczeńską i tryumfalną, gnany jest przez siepaczy hitlerowskich w przepaść bolszewicką, a po bokach kroczą szpalery "autorytetów" konspiracji, pilnujących z pistoletami w garści, aby nikt z tego pochodu się nie wyłamał, nikt nie próbował zawrócić, czy innych przed przepaścią nie ostrzegł.

Ja nie chcę tu wspominać o szmatławcach w rodzaju Głosu Demokracji, Trybuny Ludu, Trybuny Wolności, Głosu Warszawy, Barykady Wolności i jakże wielu jeszcze organach KRN, tworzących już wówczas potężne podziemne państwo sowieckie w Polsce. Ale weźmy Biuletyn Informacyjny AK, który dziś tu, w Londynie, okupację sowiecką w kraju nazywa "przemianami społeczno-politycznymi".

Dnia 11 stycznia 1944 r. rząd sowiecki, nie po raz pierwszy zresztą, ogłasza, że anektuje pół Polski, że definitywną granicą zachodnią Sowietów będzie linia Curzona.

Dnia 22 lutego 1944 r. w Izbie Gmin występuje Churchill z oświadczeniem, że rząd brytyjski uznaje linię Curzona za wschodnią granicę Polski, która odpowiada zasadom słuszności i sprawiedliwości. Mówi o tym, że Wilno i Lwów należeć winny do Sowietów.

Biuletyn Informacyjny pisał wtedy:

Ogólnie biorąc, na podstawie ostatniej mowy Churchilla, oraz licznego szeregu innych oznak, można stwierdzić, iż ostatnimi czasy stan zatargu rosyjsko-polskiego przechyla się na naszą korzyść...

Polska Walczy zamieszcza po tej mowie Churchilla artykuł pt. "Churchill - przyjaciel Polski".

Więź pisze w tym samym czasie o NSZ:

Wzywanie do niewspółdziałania z wojskiem sowieckim nie jest zgodne z rozkazami Komendanta Sił Zbrojnych w Kraju. Jest to wyraźne szkodnictwo!

Organ Mikołajczyka, wierny Komendzie Głównej AK, Żywią i Bronią pisze (maj 1944) o "faszystach polskich":

Zbrodnie bratobójcze na oddziałach PPR-owskiej Armii Ludowej, będą najhaniebniejszą plamą w historii walki Narodu Polskiego o wolność. Nigdy na broń naszego żołnierza nie spadła kropla niewinnej krwi braterskiej. Nigdy broń ta nie zwróciła się przeciw żołnierzom komunistycznych oddziałów bojowych!

W takim to czasie podziemna Rada Narodowa, Krajowa Reprezentacja Polityczna i Pełnomocnik Rządu na Kraj pochłonięci są redagowaniem komunikatów pochwalających akcję przeciwko gen. Sosnkowskiemu... Oto co pisał Tydzień, jedno z tych, jakże nielicznych, niezależnych pism Polski podziemnej:

Jest rzeczą znamioną, że pod wpływem działania wybitnie partyjno-politycznego, ciała te wychodzą całkowicie poza zakres swoich kompetencji... Pożałowania godny jest fakt, że omawiana uchwała Rady Narodowej zapada w okresie najsilniejszych ataków na osobę gen. Sosnkowskiego ze strony Moskwy...

Takim "ocenom politycznej sytuacji", takim wymogom i jawnemu współdziałaniu z najeźdźcą sowieckim, należało się podporządkować i przyklaskiwać, ażeby uzyskać patent prawomyślności od tych panów! Jeżeli dzisiaj w spokojnym Londynie chce się zgrzytać przy odczytywaniu tych nonsensów, to nie należy zapominać, za jaką cenę były one rozpowszechniane w Kraju - wówczas. Jaką wagę gatunkową miała ta czcionka składana rękami podziemnych bojowników, którym się zdawało, że walczą o Polskę, a w istocie oszukanych, zdradzonych. Wagę krwi ludzkiej, cenę cierpienia, kopań, wybijanych zębów, deptania godności, obozów, śmierci męczeńskiej. Za cenę kości, wdeptywanych przez Niemców w ziemię, niwelowano place polane krwią, aby wzniesć na nich gmach Bezpieki, sowieckiego jarzma i ostatecznej klęski.

A dziś ten sam Biuletyn rozpiera się na jednej ladzie w londyńskich kioskach, łącznie z portretem Lenina w Odrodzeniu, czy artykułem Jędrzychowskiego wielbiącym Stalina w Kuźnicy. Jakże mały i mizerny pozostał w zestawieniu z tymi pismami, które wyprzedził, a które wyrosły na olbrzymy na gruncie, w którego przygotowaniu, śmiem twierdzić, współdziałał.

Przelewanie krwi za zwycięstwo... Sowietów

W Warszawie zacząłem wydawać podziemne pismo pt. Alarm. Pisałem w nim:

Żadnej współpracy z bolszewikami! Zasadą polskiej polityki zagranicznej winno być szukanie przeciwko Niemcom sprzymierzeńców na zachodzie, nigdy na wschodzie. - W praktyce międzynarodowej nie ceni się przyjaciół całkowicie oddanych. Wobec Zjednoczonych Narodów jesteśmy nie petentem, a kon-trahentem. Odrzucamy kategorycznie koncepcje sowieckie nazywane linią Curzona, stoimy zdecydowanie na gruncie nienaruszalności granic ustalonych Traktatem Ryskim. - Niemcy są naszym wrogiem zewnętrznym, bolszewicy i zewnętrznym, i wewnętrznym. Niemcy wojnę przegrali, bolszewicy ją wygrywają. Niemcy odchodzą, bolszewicy przychodzą, itd.

Dlaczego jednak mój Alarm, głoszący tezy powyżej przytoczone, pod którymi w zasadzie każdy uczciwy Polak mógłby się podpisać, tak bardzo drażnił "autorytety" konspiracyjne w kraju?

Oto w odróżnieniu od rozpowszechnionego dziś rewizjonizmu w dziedzinie teorii oporu wobec najeźdźcy, rewizjonizmu, który często powołuje się na wzory czeskie, byłem zdecydowanym zwolennikiem zbrojnego, bezkompromisowego przeciwstawiania się Niemcom, ale - jednocześnie, równie zdecydowanym przeciwnikiem wspomaganie bolszewików. Wlewanie naszej krwi w walce z Niemcami uważałem za konieczne. Ale przelewanie tej samej krwi dla wspomaganie bolszewików i przyspieszenia zejścia Polski w jarzmo sowieckie - za zbrodnię. Jeżeli ktokolwiek przypomina sobie chociażby ostatnio drukowany w londyńskim Dzienniku Polskim spór o to, kto dokonał unieruchomienia węzła warszawskiego, przy czym autor notatki chlubił się, że to nie PPR, właśnie AK, która w ten sposób sparaliżowała transporty niemieckie na front wschodni, ten i uprzytomni, i przypomni sobie, że stanowisko "autorytetów" konspiracji było wręcz przeciwne. Zresztą, zgodne ze stanowiskiem Rządu na emigracji, linią polityczną od dawna znaną, planem "Burzy" itd. W Alarmie drukowałem hasła:

Strzelanie do agentów Gestapo, to akt samoobrony, koniecznej. Wysadzanie pociągów z amunicją przeznaczoną do walki z bolszewikami, to świadectwo niedojrzałości politycznej.

Podobne hasło uznane zostało przez niektóre "autorytety" konspiracyjne za - niezgodne z interesem Polski. Zważmy, że działo się to w czerwcu, lipcu 1944 r. Gdy klęska Niemiec była rzeczą przesądzoną. Gdy zamiary Sowietów w odniesieniu do Polski stały się już od dawna jawne i nie podlegające żadnej dyskusji!

II

Czy racja "polska"? Czy racja "antyniemiecka"?

Każdy rozumie, że usiłując w ograniczonych ramach poddać syntetycznej krytyce akcję polityczną podziemia w przekroju pięciu lat okupacji, zmuszony jestem do podkreślania tych kształtów ówczesnej rzeczywistości, skompresowania takich szczegółów i przykładów, które dają obraz istoty rzeczy, a nie poszczególnych odcinków, fragmentów i bardzo zresztą licznych odchyłeń od zasady. Jestem, powtarzam to ciągle, daleki od rzucania chociażby cienia na setki tysięcy ofiar, na żołnierzy żywych i poległych. W swej tajnej broszurze, wydanej w Krakowie pt. Optymizm nie zastąpi nam Polski, pisałem na str. 11 co następuje:

Na złość Niemcom ukrywano najbardziej autentyczne wieści płynące z Moskwy i również "na złość" Niemcom fabrykowano "dobre", a z gruntu fałszywe pogłoski. Jest to ciężki grzech popełniony w stosunku do własnego narodu. Ale obciąża on tylko nasze sfery reprezentacyjne, o pretensjach wyrobienia politycznego. Trudno bowiem wymagać, powiedzmy, od jakiegoś dwudziestoletniego młodzieńca, który widzi, jak konduktor niemiecki kopie w brzuch jego matkę przy wchodzeniu do niewłaściwego przedziału pociągu w jakichś Skierniewicach, Radomiu czy Małkini, trudno wymagać odeń, żeby krew, która mu uderza do twarzy w takiej chwili, żeby zaciśnięte pięści i paznokcie wbite w dłonie, rozpaczliwej przysiędze na zemstę, mogły mu pomóc w ogarnięciu całokształtu polskich interesów politycznych, do wyrobienia polskiej myśli politycznej, sięgającej het daleko poza peron kolejowy w Skierniewicach. Radomiu czy Małkini. Taki chłopiec nie chce słyszeć o bolszewikach. On wstąpi do AK i będzie strzelał do Niemców. I w gruncie dobrze robi, bo co wart jest naród, którego jednostki pozbawione są godności osobistej! (podkreślenia w broszurze)

Jeżeli zbyt często wysuwam tu swoją osobę, to nie dlatego, ażebym się chciał ośmieszyć, albo pozwolił zbyć kpina, iż uważam zapewne, że poza mną nie było ludzi trzeźwo patrzących na rzeczywistość, tylko dlatego, po pierwsze, że do przedstawienia siebie zostałem sprowokowany od lat już trwającą nagonką, a po drugie, że operowanie własnym przeżyciem i doświadczeniem ułatwia mi cytowanie charakterystycznych przykładów.

Gdy dziś czytam powoływania się na źródła krajowe, rozgrywki partyjne, uchwały, decyzje, pięknie brzmiące deklaracje władz podziemnych, z których wiele cechuje słuszność zasady, przebija patriotyzm i troska o dobro Polski, gdy się je cytuje jako odbicie "nastrojów kraju", ma się ochotę powiedzieć tylko: słowa, słowa, słowa. A rzeczywistość?

Rzeczywistość, jak to już raz pisałem, śmiertelnie zaszczuca terrorem niemieckim, podszczuwana radiem londyńskim, zerwała tymczasem z jakąkolwiek racją polską. Tematem przestała być Polska, tematem stały się Niemcy. Racja polska zastąpiona została przez rację antyniemiecką. Cel wojny: odzyskanie niepodległości, zastąpiony został zupełnie wyraźnie, bez reszty, pobiciem Niemców, nie jako środkiem do celu, a jako celem w sobie. Jasne, że na tej bazie nie można było budować konstruktywnej myśli obejmującej całokształt interesów polskich.

Tymczasem Niemcy leciały w przepaść. Z nami stało się coś podobnego, co się zdarza w tragediach leśnych wśród zwierząt, gdy napadnięty, we własnej obronie tak się weźre w napastnika, iż porwany przez niego nie może się już oderwać i runąć muszą obydwaj we wspólną otchłań na zagładę. NSZ pisał na ścianach kamienic warszawskich: "PPR - P-odle P-achołki R-osji". Niemcy napisów nie kazali ścierać. Traciły przez to wszelkie znaczenie. Prasa komunistyczna biła brawo. Komu? Niemcom, oczywiście.

Niemcy znakomicie ułatwiali bolszewikom rolę, skomasowawszy w swych rękach monopol

antysowieckiej propagandy, a tym samym wytrąciwszy ją z rąk narodów przez się okupowanych, a z kolei zagrożonych przez najazd sowiecki. W takiej chwili spotykało się ludzi, którzy w poszukiwaniu wyjścia z obłądnego koła, poczynali się zastanawiać nad możliwością jakiegoś prowizorycznego chociażby modus vivendi z Niemcami. Uważałem osobiście podobne próby za najgorsze wyjście ze wszystkich możliwych, za fatalne z fatalnych. Albowiem w ten sposób podkreślałoby się raz jeszcze nierozzerwalne pobratymstwo pomiędzy antysowiecczym i niemieckością, co stanowiło właśnie istotę nieszczęścia. Moim zdaniem racja polityczna kraju wymagała rzeczy najpilniejszej: przekonać naród, że nie każda akcja antysowiecka pochodzi od Niemców, jak w Ewangelii każda władza od Boga.

I oto w takim momencie spada cios: Polskie Radio Londyn nadaje dnia 17 marca 1944 r. dwanaście razy komunikat, że:

Wszelkie tajne wydawnictwa wychodzące w języku polskim, a w treści swej atakujące ZSRR, są dziełem propagandy niemieckiej.

W związku z tym następuje przypomnienie oświadczenia Pełnomocnika na Kraj z dnia 7 marca 44, w którym "przestrzega przed wymuszaniem przez okupanta deklaracji anty bolszewickich".

Komunikat ten, gdybym nie był przekonany o jego autentyczności, poczytałbym za prowokację sowiecką. Nigdzie bowiem Niemcy podobnych deklaracji nie wymuszali i wymuszać nie mogli, bo niby od kogo? Ani organizacje, ani przedstawicielstwa polskie jawne nie istniały. Więc co, od przechodnia na ulicy, od chłopca na wsi? Była to więc bzdura, podobnie jak fama o rzekomych propagandowych kursach antysowieckich dla Polaków w Berlinie...

Na równi pochyłej

Ażeby akcję antysowiecką odseparować od wspomnianych wyżej prób jakiejś ugody z Niemcami, czy to w imię lansowanego przez niektórych hasła "ratowania substancji narodu", czy innych celów, pisałem w 1. numerze Alarmu:

Pertraktować może równy z równym, ale pertraktować może i pobity ze zwycięzcą, nawet niewolnik z panem, nawet więzień z dozorcą. Lecz nie może pertraktować ktoś, kogo się stawia w warunki poniżające jego godność. Niemcy depreczują naszą godność narodową i osobistą. Nie pozwalają nam się kształcić, pielęgnować własnej kultury, drukować książek; są miasta w Polsce, w których Polakowi nie wolno się nawet uczyć gry na skrzypcach... albo trzeba się było kłaniać Niemcom na ulicy... a nasi robotnicy w Rzeszy noszą literę "P" jak Żydzi gwiazdę. Każą nam jeździć w osobnych wagonach jak Murzynom w Afryce. Ale porównanie do Murzynów nie jest ścisłe. Bo Murzyn afrykański, zetknąwszy się z człowiekiem cywilizowanym, nie był mu równy. Nie został tedy zepchnięty ani podeptany. A my zostaliśmy.

Można zasiadać albo nie zasiadać do wspólnego stołu konferencyjnego z Niemcami, zależnie od zapatrywań politycznych, ale nie można przy tym stole - stać, gdy strona przeciwna zasiada!

I otóż jeden z "autorytetów" podziemia, spotkany przeze mnie na emigracji, jeszcze teraz mi powiada: "Owszem, owszem, naturalnie to bardzo rozsądnie, ale... pana by Niemcy nie rozstrzelali, gdyby złapali, bo całe pismo było antysowieckie". - Oto jest klasyczny argument wyższego rzędu tamtejszych czasów: nie to jest ważne, co się pisze i czy słusznie lub pożytecznie. Mogła być napisana chociażby bzdura, ale tak napisana, iżby istniała pewność, że za nią Niemcy rozstrzelają.

A w gruncie rzeczy nie ja miałem wtedy rację, a on, mój obecny rozmówca. Bo było już za późno. Kraj doszedł do tego punktu zwrotnego, od którego zaczyna się toczyć po równi pochyłej z

szybkością bezpowrotną. Jeszcze tam mogło się zdarzyć, że jakiś dowcipny akowiec dołączył do nakładu Biuletynu wierszyk o "Volksanglikach", trzymała się jeszcze prasa piłsudczykowska, trzymał się NSZ, ale optymizmu, ślepej wiary w Anglików, w bezpieczeństwo ze strony Sowietów, we wszechpotęgę i dobrą wolę Churchilla z Rooseveltem, nic zachwiać w masach nie było w stanie. Żadne rozumowanie, żaden najoczywistszy argument.

Tezy sprawdzone u Goebbelsa

Nie piszę tu żadnej monografii o dziejach podziemia. Dlatego z góry muszę się zastrzec przeciwko ewentualnym zarzutom, że w uświęconej krwi walce dostrzegam tylko strony ciemne, które przesłonięte zostały blaskiem bohaterstwa i poświęcenia. Otóż właśnie to bohaterstwo i poświęcenie są jedną z przyczyn, dla których chciałbym wskazać, jak fatalnie fały zmarnowane, ba, obrócone na naszą zgubę.

Oczywiście, sprawcą nie tylko ówczesnych nieszczęść, ale Matecznej klęski są przede wszystkim Niemcy. Ta prawda nie może ulegać żadnej dyskusji. Natomiast podlega dyskusji rezultat zadanej nam klęski. O ile bowiem większość skłania ku twierdzeniu, że największą krzywdą, jaką nam wyrządzili Niemcy, było zatopienie Polski w potokach krwi i zniszczenie materialne, o tyle ja twierdzę, że zniszczenie moralne przez jej zbolszewizowanie.

Ich brutalna, niesłychana w dziejach metoda potraktowania całego narodu, metoda, która temu narodowi z początku zaparła dech w piersi, a później zaślepiła w reakcji tak gwałtownej, że przesłoniła wszelki rozsądek polityczny, ograniczając wielki naród do ślepych odruchów, właśnie w chwili, gdy zwykle skomplikowana sytuacja wymagała odeń zimnej krwi i ruchów skoordynowanych, wynikających z głęboko przemyślanych kryteriów politycznych.

Nie zgadzam się z tymi, którzy twierdzą, że z Niemcami można było współpracować i nie należało do nich strzelać. Nie można było współpracować przede wszystkim dlatego, że sami tego nie chcieli. Niemców, moim zdaniem, trzeba było bić tam wszędzie i tak samo, jak oni nas bili. Ale nie znaczy to, że należało wygrywać Polskę dla - bolszewików.

Ani Niemcy w swych założeniach politycznych nie chcieli zbolszewizowania Polski, ani my nie chcieliśmy zbolszewizowania Polski. A w rezultacie Niemcy Polskę bolszewizowali, a myśmy im w tym ze wszystkich naszych sił pomagali.

Jednym z najskuteczniejszych instrumentów akcji podziemnej była jej prasa. Przytoczyłem poprzednio kilka z niej wyjątków i nie będę nawracał do fragmentów, jakim to nakładem ofiar i poświęcenia służyła ku... zaślepieniu społeczeństwa, zaślepieniu w trzech kardynalnych błędach: 1) bezkrytycznym optymizmie (nazywało się "podnoszeniem na duchu"), 2) omnipotencji Anglii i jej bezwarunkowo dobrej woli, 3) usypianiu niebezpieczeństwa sowieckiego. W sukurs tej prasie przyszedł niejaki dr Józef Goebbels, Reichsminister Hitlera, który pisał, że: 1) Polskę czeka marny los na wypadek zwycięstwa aliantów, 2) Anglia okaże się w rezultacie słaba i Polskę sprzeda, 3) bolszewicy Polskę zabiorą i zrobią z niej 17. republikę.

Nie będę się powtarzał, przypominając, że o ile obowiązywało czytanie na opak wszelkich enuncjacji niemieckich, tym bardziej, oczywiście, szefa propagandy niemieckiej. A więc wszystko się zgadzało. Zgadzało na naszą zgubę. Wsparte na tych dwóch autorytetach, tzn. pozytywnym - prasy podziemnej i negatywnym - dr Goebbelsa, wymienione wyżej tezy przeistoczyły się niebawem w uświęcone kanony, nie podlegające żadnej krytyce, pod groźbą zarzutu "współpracy z wrogiem".

W praktyce prasy podziemnej przyjął się taki schemat: ażeby napisać jedno słowo nieprzychylnie o

Stalinie, trzeba je było zaopatrzyć poprzednio w sto wyzwisk pod adresem Hitlera. Przy tym "autorytatywni" cenzorzy opinii publicznej sprawdzali z dokładnością fachowca, czy nie jest ich aby tylko 99 i czy są dosyć mocne, by gwarantować natychmiastowe rozstrzelanie w Gestapo w wypadku wpadnięcia. Oczywiście, przykład ten wydać się może niejednemu groteskowy w jego lapidarnym schemacie, jednak jest najzupełniej prawdziwy. Utrudniało to niezwykle wszelką publicystykę i polemikę, rozwadniało tekst, no i oczywiście osłabiało efekt. Podobnie nigdy jeszcze nie skomasowano takiego rejestru zbrodni niemieckich, jak w okresie Katynia r. 1943, aby mu je przeciwstawić i odwrócić odeń uwagę. Efekt był z góry do przewidzenia: mord katyński wydał się błądy...

Wobec prasy podziemnej, jak to już wspomniałem powyżej, nie było sprostowań, wyjaśnień, żadnej apelacji. Bo za czytanie, kontakt, a tym bardziej pisanie do prasy podziemnej groziła ze strony Niemców kara śmierci. W ten sposób oszczerstwem można było zabić człowieka na miejscu. Jeżeli się zważy, że w wielu wypadkach pisali ludzie stojący nie zawsze na poziomie i, jak to w życiu bywa, nie zawsze dobrej woli, można sobie wyobrazić totalny charakter tej prasy, która nie znała sprzeciwu. Kto, kiedy i w jaki sposób mógł dojść w tych warunkach prawdy?

Dziś się to łatwo wymawia: "zdarzały się omyłki"... - Nie byłem wtedy w Warszawie, gdy zastrzelono z wyroku podziemnego, komendanta policji granatowej Reszczyńskiego, ponoć Bogu ducha winnego, najlepszego Polaka. Później twierdzono, iż on to właśnie najskuteczniej oparł się Niemcom, by nie używać policji mundurowej do rozstrzeliwania Żydów. A może nie był przyzwoitym człowiekiem? Bo kto właściwie wie? Leży w grobie. Opowiadano mi też później, że po tygodniu wyrok zrewidowano i przysłano żonie kartkę z... przeproszeniem za "omyłkę". A może i to była fama tylko?

J. M.

Lwów i Wilno 1947 nr 53 i 1948 nr 56

Cyprian Kamil Norwid Język ojczysty

"Gromem bądźmy pierw - niżli grzmotem;
Oto tętnią i rżą konie stepowe;
Górami czyny!... a słowa? a myśli?... potem!...
Wróg pokalał już i Ojców mowę -"
Energumen tak krzyczał do Lirnika
I uderzał w tarcz, aż się wygięła;
Lirnik na to
"Nie miecz, nie tarcz bronią Języka,
Lecz – arcydzieła!"

Cyprian Kamil Norwid Klątwy

Wspomnij, Panie, na zelżywość sług Twoich
- a jakom ponosił wzgardę w zanadrzu
swym od wszystkich narodów możnych.
Psalm LXXXIX

Żaden król polski nie stał na szafocie,
A więc nam Francuz powie: buntownicy.

Żaden mnich polski nie bluźnił wszech-cnocie,
Więc nam heretyk powie: heretyki.

Żaden pług polski cudzej nie pruł ziemi,
Więc poczycani będziemy jak złodzieje.

Żaden duch polski nie zerwał z swojemi,
A więc nas uczyć będą - czym są dzieje?

Ale czas idzie - Szlachty-Chrystusowej,
Sumienia-głosu i wiedzy-bezmqwnej;

Ale czas idzie i prości się droga...
Strach tym - co dzisiaj bać się uczą Boga.

Marianna Pikuzińska
Pamiętnik (fragment)

19 lutego [18]46

Przyjechałyśmy z mamą dzisiaj z Krakowa. Okropna była droga! Na Podgórzu nie chcieli nas puścić, ale cwancygiery wetknięte temu i owemu pomogły. Zadyмка i wiatr taki straszny, że konie iść nie chciały, skręcały się ciągle i o mało nas nie wyrzuciły. W Gdowie kazała mama zajechać do karczmy - a, że wiatr nie ustawał musiałyśmy zanocować. Strach nas ogarniał, wiatr gwizdał i wył, śnieg w okna bił. Mimo to zagrzaszysy się herbatą zasnęłam. Po północy, może koło 2-giej budzi mnie mama, że okropny sen miała. Ledwie usnęła widzi sześciu zabitych młodych ludzi, między nimi Teofila, który odzywa się: "Mamo, ja już nie żyję". Zerwałam się, serce mi biło okropnie, o spaniu już ani myśli. Modliłyśmy się i nie mogły doczekać do rana. Ledwie troszkę zaświtało, kazała mama zaprzęgać - pojechałyśmy. Teofila nie ma, musiał uciekać z domu, Chłopi go skarżyli, że namawia do buntu. Wczoraj w nocy mieli uderzyć na Tarnów. Noc taka była straszna, nic nie wiemy co się stało. Anusia z p. Burzyńską pojechały do Konar dowiadywać się. O Boże, Boże! Biedny Teofil, nie miał ze swoich nikogo - zdradził go syn ogrodnika, którego ojciec służył jeszcze u babki i rósł z mamą, któremu Teofil tyle zrobił dobrego. Co za człowiek! Jak to boli.

20 lutego [18]46

Jeszcze nie wiemy. W Konarach nic się nie dowiedziały. Chłopi trzymają wartę po gościńcach, nie puszczają nikogo, zamiast pomagać, przeszkadzają. Co się będzie działo! Boże, zlituj się!

25 lutego [18]46

Skończyło się - pamiętam słowa Pana naszego - i my je możemy powtórzyć, bo jeśli godzi się porównać - powtarzamy Jego męki. Wściekle hordy z cepami, widłami, napadają bezbronnych, biją mordują, odwożą do cyrkułów, a tam im płacą. O! przeklęci, na wieki przeklęci w których głowach rozwinął się ten pomysł. Ale nie - to nie podobna, aby człowiek, chrześcijanin, mógł coś podobnego wymyślić, samo piekło musiało im [to] poddać. Tak obłąkać ciemne umysły tylu ludzi, porobić ich zbójami, mordercami swoich braci, swojej Ojczyzny - to okropne. Jak oni są ciemni, jak poprzewracane mają w głowach, że to ich panowie mieli zabijać. O Boże, za co nas tak karzesz?

Na nas, przed paru dniami, napadła zaborowska gromada. Anusia już była u nas, przeniosła się z dziećmi, żeby nam śmielej było. Koło północy pierwsza usłyszała brzęk szyb w swoim domu i zaraz okropny hałas na dziedzińcu. Wyskoczyłyśmy wszystkie z łóżek, ledwie narzuci[wszy] cokolwiek na siebie, już nasze okna się trzęsą i rozlegają głosy: "Otwieraj, otwieraj!" Ledwie mama zaświeciła świecę, już drzwi siłą wyparte otworzyły się i jak wzburzona fala, gdy zrobi przerwę, cała masa ludu wpada do pokoju i wywijając pałkami, cepami, kosami, woła: "Gdzie broń?, gdzie Polacy? Będziemy rewidować". Jak szaleni latają po pokojach, jeden drugiego popycha, bo ledwie pomieścić się mogą. Każdy woła o świecę. Otwierają szafy, komody, wrywają widłami posadzkę i zabierają wszystko, co który może. A my struchlałe tulimy się do siebie; dzieci pobudzone płaczą. Rano przyprowadzili tutejszego stolarza, lokaja i kucharza, naszych wsiowych - tylko poprzebieranych w surduty, powiązanych, i furmana Teofila - Purchlę, który jeździł z nim zawsze i zaczęli ich bić. Wysunęłam się naprzód prosząc i całować po rękach chciałam, żeby nie bili - a jeden zamierzył się na mnie kosą, mówiąc: "Pójdiesz rebeliantko, bo ci głowę utnę". Byłby to pewnie zrobił - i byłabym już nie cierpiała, ale biedna moja mama schwyciła mnie za rękę i nie puściła z pokoju. Ledwie serce mi nie pękło, słyszącą rozhukaną tłuszcę jak dawała rozkazy naszej gromadzie, która zebrała się także na dziedzińcu, żeby tak dalej szli rabować, bić i odwozić Polaków do cyrkułu, bo im tam zapłacą za głowę. W sobotę, niedzielę i poniedziałek, byłyśmy zupełnie na śmierć przygotowane. Co chwila przychodził któryś z naszych ludzi ostrzegać. Przecie oni lepsi jak inni. Kilku tylko poszło na rabunek do Strzelec. Ostrzegali nas, że zaborowanie będąc

w Tarnowie, widzieli pozabijane kobiety - dowiedzieli się, że wolno zabrać wszystko. A nam zostawili krowy, konie i co było w spichrzu i zbierają się jeszcze raz przyjść, zabrać resztę, a nas zabić. Uciekać nie podobna, bo na drogach zabijają. Zresztą nie ma z czem, bo wszystkie pieniądze i rzeczy zabrali. Dzieci małe, tu chociaż mleko mają. Piastunki pouciekały, bojąc się, że je zabiją. Ledwie uprosiłyśmy mamkę malutkiej Mani, że na noc została. Budząc się rano rozglądałam się naprzód, czy na tym świecie jeszcze jestem. Śpię tak mocno, że mogliby mnie śpiącą zabić.

1 marca [18]46

Ostatki. Okropne przedstawienie odbyło się w kościele. Nabożeństwo z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, mnóstwo ludzi. Nagle wszczyna się hałas krzyk, chłopci czapki na głowy i uciekają wszystkimi drzwiami, po konfesjonatach do okien się wspinają i uciekają, baby za nimi. Słysząc tylko głosy: "Walą się, walą". Myśmy w ławkach struchlały, myśląc, że kościół się pali, albo Kozacy, czy Tatarzy już go obstąpiły - a to weszło do kościoła dwóch surdutowych - może Niemców z Radłowa, a ktoś podszeptał, że Polacy idą i takiego popłochu narobili. Na złodziejach czapka gore. Ale jakże to bolesne. Wendorfowa, której męża zbili bardzo, zrabowali także, a jego zawieźli do Bochni, dostała pomieszania zmysłów. Chce pomagać księdzu kończyć nabożeństwo. Śpiewa Dominus. Straszne rzeczy się dzieją - a o Teofilu nic nie wiemy, żadnej komunikacji z okolicą. Nigdzie nie puszczają.

Marzec [18]46

Nigdzie nic dobrego. Same wiadomości jedne okropniejsze od drugich. Wszędzie tak mordowali. Krew strumieniami płynęła przed cyrkułem w Bochni, w Tarnowie. Trupów obdartych bez trumien, bez pogrzebów wciskali do dołów. Może i Teofil był między nimi!

Ale mówią znów, że go widzieli przebranego za chłopca, że uciekł za Wisłę - inni, że widzieli przywiezionego do Tarnowa zabitego, że go zamknęli, inni go widzieli w Bochni, ale nie można dotrzeć, widzieć tego, kto go widział. Serce drży na tą myśl - wyobrażając sobie jak go bili, a może zabili. Biedna Anusia - rozpacza, czasem znów się pociesza, że może uciekł, może zamknięty.

Co za męczarnie nic nie wiedzieć, co się gdzie dzieje dalej? Co w Krakowie, w Królestwie? Żadnych gazet, żadnej komunikacji. Wczoraj słyhać było strzały armatnie. Za każdym uderzeniem, wszystkie nerwy drżały. Może to nasi padają, a może odebrali armaty i biją nieprzyjaciół. Może jaka pociecha zabłyśnie. O Boże! Zlituj się.

26 marca [18]46

Jakże trudno oswoić się z nieszczęściem, zdaje się, że to wszystko nie może być prawdą, że to sen trapiący. Czy mógł zginąć Teofil pod cepami? Taki młody, silny, taką okropną śmiercią! Jeżeli musiał zginąć, czemu nie na polu bitwy, od kuli nieprzyjacielskiej - ale od własnych braci dla których o wolność i swobodę poświęcił się. Tylu ludzi z takim zapalem tak marnie poginęli, w samym kwiecie wieku. Może i on także zginął! O Boże, jakżeś nas ukarał. A może Pan Bóg nas doświadcza żebyśmy w przyszłości umieli cenić wolność i byli jej godnymi. Tylko cierpliwości! Żeby mogła przejąć na siebie cierpienia drogich mi osób. Mamy, Anusi. O biednej, biednej Anusi. Ona go kochała. Nie ma dość wielkiej ofiary, której bym z ochotą nie zrobiła, żeby jej przynieść ulgę. Dałbym się zamknąć na całe życie, żeby on wrócił do niej do tych biednych dzieci. Ale to próżne nie ziszczone chęci moje, jak go zabili, już nikt nie wskrzesi.

Jan Słomka Pamiętniki włościanina

Wspomnienia z r.1846.

Z tego, co już sam z dzieciństwa zapamiętałem, najważniejsze wspomnienie odnosi się do roku 1846, do t. zw. rabacji galicyjskiej. Pamiętam, jak przez sen, jak ojciec mój wpadł do izby — a właśnie był u nas zabity wieprzek — i wołał do matki i babki: »Gotujta tę wieprzowinę, niech dzieci jedzą i wszyscy, a resztę trza zakopać, bo rabacja idzie, to wszystko zabierą, a i nas zabić mogą!«. Wtenczas całą noc nie spaliśmy, tylko wszyscyśmy płakali, i wielki był strach w domu.

Z późniejszych lat pamiętam dobrze, jak starsi opowiadali u nas w domu i na różnych zabawach, że w owych dniach rabacji hrabia zwoływał gospodarzy ze wsi, należących do niego, i prosił, żeby byli razem z nim do obrony, jakby co wypadło. Gospodarze wszyscy przyrzekli, że pójda w obronie i w zamkowej kuźni ładowali kosy i inną broń do tego. Plan był ułożony taki, że jakby szła czerniawa w te strony, to miał wyjść do niej ksiądz z monstrancją i wszystek lud w procesji z chorągwiami, z Miechocina ku Kajmowu, i wzywać, żeby się wrócili, a gdyby tego wezwania nie usłuchali, to byłaby bitka.

Chronili się wtedy ludzie z innych dworów do zamku dzikowskiego, wszyscy jechali przerażeni, a między innymi jakaś pani, która leżała na bryczce z głową zwieszoną i zakrwawioną, a koło niej krzyczały dzieci. Na koniach piana stała, bo podobno panią tę napadli na drodze od Mielca i byliby zabili, tylko furman podciął konie i ocalił ją.

Nie było wtedy poczt, jak teraz, a poczawszy od Baranowa ku Mielcowi, gdzie się już rabacja zaczynała, stały warty chłopskie po karczmach, tak, że nikt tam ani nazad nie mógł przejść ani przejechać, nie było przeto dokładnej wiadomości, co się dzieje za Baranowem. Więc dwaj gospodarze z Miechocina: Wawrzyniec Kozieł i Paweł Wiącek, poszli wysłani przez hrabiego, ażeby przedrzeć się ku Mielcowi i przynieść stamtąd wieści. Gdy doszli do Nagnajowa, już im tam ludzie doradzali, żeby się nazad wrócili, bo może być źle z nimi, ale oni na te przestrogi nie zważali i poszli dalej. Zaledwie jednak przyszli do Annapola, w bliskości Padwi, zastąpili im tam chłopci na drodze przed karczmą, a uznawszy za »szpiegów wysłanych przez panów«, bili w okropny sposób i mordowali i na miejscu obu zabili, i tam przy drodze pogrzebali, — gdzie też dotychczas znajduje się mogiła, przy terazniejszej szosie krajowej.

Opowiadali starsi, że czerniawa, należąca do rabacji, szła od wsi do wsi i wszędzie zabierała chłopów ze sobą, i w ten sposób tworzyła się coraz większa banda, a jakby niechciał kto z nimi iść, to bili i zabijali. Ale w każdej wsi było dosyć takich, co chętnie do nich przystawali: jedni dla rabunku, inni chowali różne zemsty za pańszczyznę, a zresztą robiła swoje wódka, bo gdzie zdybali karczmę, to pili, co się dało, a czego nie wypili, to po pijanemu rozbijali i wylewali. (...)

Powstanie w r.1863.

Na te czasy przypadło powstanie w r. 1863. Gdy coraz więcej narodu szło do powstania, i rósł zapał, rząd austriacki nasłał konnicę i piechotę i obstawił granicę od Królestwa Polskiego. Wojsko rozkwaterowane było po wsiach i miasteczkach najbliższych granicy, więc i w Dzikowie stało pewnie przez półtora roku.

U mnie stało na kwaterze dwóch huzarów z końmi, a ku ostatkowi żołnierze z piechoty, i ci po większej części byli Polacy. U mnie jedni i drudzy zachowywali się dobrze, ja też z nimi nawzajem dobrze się obchodziłem. Co było w domu, tem ich często poraczyłem i oni również ze mną swoim

się dzielili, więc jak odchodzili, to pożegnanie było dobre. Natomiast na innych kwaterach bywały częste awantury, gospodarze skarżyli się na żołnierzy, a ci na gospodarzy, najczęściej o wikt.

Za kwatery te coś płacili, ale nie przypominam sobie, ile na dzień wychodziło, pamiętam tylko, że za obiady zwracali tyle, ile kosztowało mięso, pół funta na żołnierza. Obiady te na każdą kwaterę nosili ze wsi, jak wójt poprzedniego dnia rozporządził, on zaś co dzień po kolei naznaczał domy, na które w danym dniu przypadał ten obowiązek.

Zrazu nie było tak ostro, — żołnierze pilnowali tylko granicy, żeby powstańcy nie przechodzili. Później wojsko wykonywało coraz ostrzejsze rozkazy. Po drogach były warty, — każdy, kto jechał furą, był rewidowany, czy nie wiezie amunicji lub powstańca; musiał się wylegitymować, skąd i dokąd jedzie i w jakim interesie. Odbываły się rewizje, szczególnie po dworach, a jeżeli się wykryło coś, mającego związek z powstaniem, to brali do więzienia lub nakładali kary pieniężne.

Chłopi w sprawie powstania byli wtenczas zupełnie obojętni, tylko odzywały się głosy, że »dobrzeby było, żeby Moskale pobili a wygnali«.

Z Dzikowa poszedł do powstania młody hr. Juljusz Tarnowski, a do tego samego oddziału poszło też kilku mieszczan z Tarnobrzega. Wyjście ich odbyło się w tajemnicy i stało się wiadomem dopiero po bitwie, którą stoczyli. Jak potem różni opowiadali, oddział ten przeprowił się przez Wisłę pod Szczucinem, jednak już wprzód ktoś zdradził, że pójdą tamtędy powstańcy, i Moskale byli na to przygotowani. Więc ledwie się nasi przeprowili i odeszli od brzegu, rozpoczęła się bitwa, w której cały oddział został rozbity, wielu zginęło, a między nimi Juljusz Tarnowski, reszta dostała się do niewoli, a tylko garstka ocalała.

Pierwsza wieść o tem była bardzo tajemnicza i nic pewnego nie można się było dowiedzieć, aż za kilka dni wiadomość stawała się coraz głośniejszą i dokładniejszą, a w Dzikowie największe wrażenie wywołała śmierć Juljusza Tarnowskiego. Żalowali go, że w tak młodym wieku zginął, mówili, że był dobry dla ludzi, i różnie opowiadali o jego bohaterskiej śmierci. Zwłoki jego przewiezione zostały na tę stronę i złożone w nocy w grobowcach w klasztorze OO. Dominikanów. (...)

Pierwszy zegar.

Zegara w całej wsi nie było. W każdym domu natomiast musiał być kogut, który głośnie paniem w sieni oznajmiał zimą czas do wstawania. A piał on z nadzwyczajną regularnością, pierwszy raz na północek, drugi raz koło drugiej godziny, trzeci raz koło czwartej, czyli »do dnia«, — pilnowała zaś piania tego najczęściej gospodyni, która budziła domowników już za drugim, a najpóźniej za trzecim paniem. Prócz tego wychodzili gospodarze na dwór i rozpoznawali po gwiazdach, jak rychło dzień będzie.

Mnie już na początku gospodarowania uprzykrzyło się to wychodzenie w zimie na dwór i śledzenie po gwiazdach, jak prędko wstać; kogut nieraz się pomylił, bo zapał na północek, a myślało się, że to już drugie lub trzecie pianie, — postanowiłem więc kupić zegar do domu. Żeby się zaś nie narażać z tego powodu na przycinki ze strony sąsiadów, — zegar bowiem wówczas uważany był za wielkie dziwo i zbytek, — porozumieliśmy się z żoną, żeby przynajmniej przez jakiś czas ukrywać go przed ludźmi. Poszliśmy oboje do zegarmistrza w Tarnobrzegu i wybraliśmy zegar za 4 reńskie z nadmienieniem, że zegarmistrz ma go przynieść do domu wieczór i zawiesić na ścianie.

Tak się też stało. Rzecz jednak zaraz się wydała, bo dzieci, bawiąc się na drodze pod ścianami naszego domu, posłyszały wydzwanianie godzin. Zrobiły alarm i w mig po całej wsi poszła wiadomość: „U Słomki, zegar!“. Niebawem mieliśmy pełno dzieci pod oknem, przychodziły pod

okna i przysłuchiwały się cykaniu zegara. Powoli przychodzili i starsi sąsiedzi, oglądali zegar i dziwili się, że mogłem wydać aż 4 reńskie, a ten i ów przygadywał, że bawię się w »pana«.

Później bliżsi sąsiedzi, jeżeli który miał gdzie iść lub jechać, przychodzili i za dnia i w nocy pytać się przez okno, która godzina. Z czasem każdy przyszedł do przekonania, że zegar to sprzęt w domu bardzo użyteczny, a dziś nie ma już domu w Dzikowie, żeby w nim zegara nie było, rozpowszechniły się też między chłopami kieszonkowe zegarki. (...)

Włosy.

Włosy nosili mężczyźni od małego chłopaka długie, spadające na kark. Dziewczęta do swojego wesela splatały jeden lub dwa warkocze, które w czasie czepin ucięte, przechowywały na pamiątkę w skrzyni same lub ich matki, albo sprzedawały Żydówkom za kilka szóstek. Mężatki więc nosiły włosy przystrzygane, podobnie jak mężczyźni.

Rozdzielali je przez środek głowy, a tak niektórzy mężczyźni, jak i kobiety i dziewczki, przystrzygali je sobie nad czołem, robiąc w ten sposób grzywkę, czyli t. zw. »angielczyk«, co było uważane za modne.

Czesali się zwyczajnie tylko na niedzielę i święta, i dbały o to najwięcej jeszcze dziewczęta, na dni powszednie zaś wystarczało pogładzenie włosów ręką.

Co do zarostu twarzy, to wąsy przystrzygali albo zupełnie golili, brody zaś zawsze golili. Brzytwy przynosili oryle i każdy golił się sam w domu. (...)

Pożywienie.

Co do artykułów spożywczych, to prócz soli i trunków nic prawie w sklepie nie kupowali. Ludność wsiowa żywiła się tem, co sobie sama na swoim gruncie posiała i posadziła. Ziemniaki, groch, bób, kasza, kapusta, barszcz, a przy tem chleb, to była zwyczajna strawa na śniadania, obiady i kolacje.

Placki na największe doroczne święta przyrządzali ze swojej mąki, zmielonej w żarnach albo też w młynie, t. zw. pytlowanej; w sklepie wsiowi mąki wcale nie kupowali. Mięsa bydłowego cały rok gospodarz nie jadł, chyba że był majętny, to kupił mięsa na święta Godne i Wielkanocne, i jak był chory, — chociaż było tanie: funt po 6 grajcarów.

Nie było też w zwyczaju, ażeby gospodyni zarznęła kurę lub usmażyła jaj na spożycie domowe; pierwsze i drugie było rzadkością. Jajka były używane prawie tylko na święta Wielkanocne albo dla chorych, albo usmażyła ich gospodyni na przyjęcie gościa, np. księdza, gdy chodził po kołędzie, uważając to za najlepsze przyjęcie i uraczenie. Gospodyni wołała wszystko spieniężyć i soli za to kupić, mówiąc, że jak jest sól w domu, to zdaje się, że już niczego nie brakuje. Na przyrządzenie lepszego wikturki żalowali tak wydatku, jak i czasu i gospodyni zawsze mówiła: »Bede ta wymyślać, grymasy robić i czas tracić«. Ale poza najprostszą strawą nie potrafiła »grymasów« innych przyrządzić.

Spożywali też wiele ryb, więcej niż obecnie, a łowili je w wodach stojących na pastwiskach i łąkach. Rozpowszechnione były karasie, linki, szczupaki. Jedli je gotowane.

Najwięcej jednak było piskorzów, a szczególnie po wsiach lasowskich, w tamtejszych wodach bagnistych. Łapali je w ciągu całego roku, szczególnie w zimie, zastawiając pod lodem t. zw. »wirski«, plecione z wikliny, z grochową wewnątrz na przynętę; w ten sposób łapali je masami. Złapane nabijali żywcem na patyki czyli rożny, i wędzili, ażeby nie podpadały zepsuciu. W takim

stanie sprzedawali je chłopci na targach, nosząc na brzemieniu lub w opalkach. Funt można było kupić za parę centów. Dawali je najczęściej do barszczu, jak kielbasę. Było to smaczne i pożywne jedzenie, ikrą można się było najeść jak kaszą.

Zbierali też więcej niż obecnie grzybów, mianowicie: prawdziwe, maślaki, rydze, kurki i spożywali je najczęściej gotowane z kaszą, albo też suszyli i takie dawali do barszczu w poście.

Potrawy maścili zwyczajnie starą słoniną lub starem sadłem, żeby omasta była »czujna« i nie trza jej było dużo dokładać. Każdy mniejszy lub większy gospodarz starał się zabić na swoją potrzebę karmika, gdyż z tego była omasta do wszystkich potraw domowych. Zamożniejszy gospodarz zabijał w roku dwa lub trzy karmiki, mniej zamożni dwie sztuki lub jedną — i przeważnie bili w zimie. Zresztą maścili masłem, a w poście wszystkie potrawy maszczone były olejem, najczęściej konopnym lub lnianym.

Z przypraw najpospolitsze były: mięta suszona i skruszona do gomółek; kminek, który sypali do kapusty, do ciasta chlebowego, a szczególnie po wierzchu chleba; koper krajany, używany w lecie razem z liśćmi burakowemi do barszczu i kielbas; pietruszka do zupy ziemniaczanej czyli do ziemniaków na rzadko; wreszcie pieprz, używany do wódki, kielbas, twarogu, gomółek, do barszczu, zupy ziemniaczanej i t. p.

Jak byłem przy rodzicach i dziadkach i przez jakie 30 lat, gdy na swoją rękę gospodarzyłem, śniadania, obiady i wieczerze na wsi były następujące:

Na śniadanie bywał zawsze barszcz i do barszczu chleb żytni razowy. Jeżeli gospodarz miał na tyle ziemniaków, to na drugie były zawsze ziemniaki maszczone albo tylko osolone; jak było chleba mało, to zastępowali go do barszczu ziemniakami.

Obiad składał się zwykle z dwóch potraw, z których pierwszą bywała zawsze kapusta, zasypana kaszą, drugą, kasza jaglana lub jęczmienna z mlekiem albo maszczona, albo dla odmiany drugą potrawę stanowiły czasem kluski, paluchy z mąki żytniej lub pszenicznej grubej, w domu w żarnach zmielonej, z mlekiem albo maszczona, a czasem pierogi z serem, a w poście z makuchem.

Wieczera była podobna jak śniadanie.

Podwieczorki i podśniadki było zwyczajem dawać od św. Jana do św. Michała, ale tylko robotnikom do żniwa i kosy. Taki podśniadek czy podwieczorek składał się z kieliszka wódki, kromki chleba, do chleba była słonina lub masło, ser albo twaróg. Podwieczorki dawali też pastuchom pędzącym bydło na pastwisko, jak również dostawali oni do torby śniadanie i jedli je na pastwisku.

Był też zwyczaj, że do śniadania, obiadu i wieczerzy zasiadali wszyscy razem, ile było osób w domu: gospodarz, dzieci i sługi i jedli z jednej miski w ten sposób, że miska stała na ławie, stołku lub pieńku na środku izby, a wszyscy otaczali ją dokoła, przyczem starsi zwyczajnie siedzieli, a młodsi stali. Jeżeli zaś rodzina była liczniejsza, to jedni przez drugich z daleka do miski sięgali. Przed jedzeniem uwijano się, żeby złapać jak największą łyżkę. Jedynie gospodyni nie mogła jeść razem, bo ciągle dodawała do miski stawy, a jak jedli barszcz, to gospodarz lub starszy parobek był w kłopotcie, bo musiał wszystkim chleb do barszczu drobić, a sam miał tyle czasu na jedzenie, jak przestał drobić. Toteż drobił zwykle wielkie kawałki, żeby mniejsi dłużej się nad nimi zabawiali, a on tymczasem mógł więcej zjeść.

Apetyt u ludzi w owych czasach był nadzwyczaj dobry. Barszczu musiała gospodyni gotować tyle, ażeby na każdą osobę mniejszą czy większą wychodziło przeciętnie co najmniej pół litry, chleb

piekło się zwyczajnie co tydzień z pół korca żytniej mąki. Ziemniaków czy kapusty wystarczyłoby obecnie dla pięciu, co wtedy zjadał jeden.

Kawa, herbata, cukier, ryż rodzyнки, migdały, pomarańcze, cytryny, dziś sprzedawane w każdym sklepiku z artykułami spożywczymi, przeważnie nie były znane na wsi. Na razie były tylko w sklepie u Engelberga i Giżyńskiego w Tarnobrzegu.

Kawa i herbata, jeżeli była używana, to tylko na wielkie święta: Bożego Narodzenia i Wielkanoc. Gdy coś ziarenek kawy po tych świętach zostało, zawijali je i przechowywali do następnych świąt. Gospodynie w Dzikowie nauczyły się jej gotować od kucharek pańskich w Tarnobrzegu i jedna od drugiej. Na dalszych wsiach od miasta dłużej nie było znaną i z tych czasów pochodzi następujące opowiadanie: Kobieta jedna chciała się postawić na przyjęcie księdza, który z organistą miał jeździć po kolędzie a ponieważ słyszała, że księża i panowie najwięcej kawę piją, więc postanowiła go tem uraczyć. Kupiła kawy, ale przyrządziła tak, że wsypała całe ziarna do mleka i gotowała, żeby ziarna zmiękły. Gdy ksiądz przyszedł, wlała mleko z kawą na miskę i postawiła na stole, a ponieważ ziarna kawy tonęły w mleku, wyjaśniała: »Niech jegomość zamieszają, bo kawa jest na spodzie«. Dopiero ją ksiądz pouczył, jak się kawę gotuje. (...)

Żydzi.

Zbliżenie między żydami i katolikami było dawniej większe niż obecnie, ale dlatego, że katolicy więcej u żydów przesiadywali, gościli się i popijali, a żydzi mogli więcej z katolików żyć i wyzyskiwać ich.

Szczególnie wielkie zbliżenie było między żydami wsiowymi a chłopami i często dzieci takich żydów, wychowując się wśród dzieci chłopskich, chrzcili się w końcu. Najczęściej młode żydówki przyjmowały w ten sposób chrzest i wychodziły za parobków i synów gospodarskich. I to trafiało się prawie w każdej wsi. Ale ogół żydów występował przeciw temu zawsze bardzo wrogo i chrzest musiał się odbywać potajemnie, a »przechrzta« musiał się przed nimi z początku ukrywać.

Wnosząc z tego, co starsi opowiadali, to już za pańszczyzny głównie w karczmach żydowskich skupiało się życie chłopskie. Jak swego już nie było, to kradli, co się dało, na pańskim, i skradzione nieśli nocą do żyda, którego pan we wsi osadził i trzymał, i za to pili.

Za mojej pamięci był zwyczaj, że jak kto dał na mszę świętą za zmarłych, na dobry urodzaj albo na inną intencję, to na tę mszę zapraszał dziś na jutro sąsiadów, kumów, przyjaciół, wysyłając w tym celu po wsi swoje dzieci, a po mszy św. zapraszał wszystkich na podziękowanie za to, że się zeszli i modlili na jego intencję, do domu albo do karczmy i częstował, wódką i przekąską. Niektórzy na taką ucztę, jeżeli miała się odbyć w domu, zapraszali także księdza.

Każdy gospodarz zamawiał dwie lub trzy msze święte do roku i po każdym nabożeństwie było poczęsne, które niejeden przedłużył sobie do wieczora i dobrze sobie podpił.

A byłem już kilkanaście lat gospodarzem, gdy w Dzikowie i innych wsiach był jeszcze zwyczaj, że karczmarze jeździli po kolędzie, każdy wstępował do »swoich gospodarzy«, którzy u niego byli stałymi gośćmi, to jest pili.

Po Dzikowie jeździł najwięcej Salomon Szrajber z Tarnobrzega.

Wszedłszy do izby zaczynał od życzenia: »Daj Boże szczęście, żeby się tu powodziło, iżby wszyscy byli zdrowi, pieniądze mieli i żeby tu niczego nie brakowało — przychodzę tu z kolędą«. I od razu nalewał do kieliszka wódkę, którą miał z sobą, a więcej było na wozie, i częstował po kolei

wszystkich obecnych, poczynając od gospodarza i gospodyni, dawał po kieliszku dzieciom pomijając tylko najmniejsze, sługom, a nieobecnych kazał przywoływać, dogadując przytem: »Jak szanuję stół, to i stołowe nogi, ja tu wszystkich chcę potraktować, bo ten dom szanuję, niech go pamiętają wszyscy, zem tu był po kolędzie«. Gospodarzowi i gospodyni nalewał jeszcze po drugim i trzecim kieliszku i zachęcał: »Pijcie, pijcie, niech wam będzie na zdrowie, ja wam nie żałuję«, a gdzie spodziewał się lepszej kolędy, zostawiał jeszcze mniejszą lub większą flaszkę wódki.

Za to gospodarz dawał mu znowu od siebie kolędę, zazwyczaj ćwierć lub pół korca jakiegoś ziarna: żyta, jęczmienia, pszenicy, owsa, czego miał więcej, a znowu gospodyni dawała od siebie jaja, kaszę jaglaną, kurę, słowem, coś ze swego kobiecego gospodarstwa. Wsypywali to zaraz do worka, który żyd trzymał gotowy pod pachą, i ładowali na wóz, czekający przed domem. Gdy tak całą wieś objechał, to wszyscy mniej lub więcej byli wódką zamroczeni, tylko on był trzeźwy i wywoził ze wsi dobry wóz ziarna.

Dawanie tej kolędy było uważane jakby za powinność i kto by dał mało ziarna, to mu Szrajber przed drugimi wypominał; a to był szczodry, takiego chwalił, żeby i drugich do hojności zachęcić. Taka objazdźka odbywała się dwa razy do roku: raz po Godnich świętach, »po kolędzie«, drugi raz po świętach Wielkanocnych, »po święconym«.

Wesela odbywały się także głównie w karczmach. Wprost od ślubu zajeżdżali wszyscy z całą paradą weselną do karczmy żydowskiej, bo w całej okolicy nie było nigdzie wtedy innego domu do zabaw. Na innych wsiach zajeżdżali do swoich karczem wsiowych, dzikowskie zaś wesela, ponieważ we wsi karczmy nie było, jak i dotąd nie ma, zajeżdżały do karczmy w Tarnobrzegu, będących zresztą w bliskości, bo miasto ze wsią domami się styka. Z Dzikowa zajeżdżali najczęściej do Salomona Szrajbra, którego dom do dziś dnia jeszcze stoi, ale tak się już obniżył, że wnet okna dostaną do ziemi.

Kto miał sprawić wesele, to już zawczasu, na tydzień mniej więcej, zamawiał miejsce w karczmie. Zresztą karczmarze, mając z tego ładny zysk, sami przychodzili do gospodarza i ofiarowywali miejsce u siebie, wypytujac się przytem, kto jest zaproszony i doradzając, żeby jeszcze tego lub owego zaprosić, o kim wiedzieli, że lubi się zabawić i można od niego dobrze utargować: »Przecie go nie można pominąć, to porządny gospodarz: on ma syna, córkę, on was znowu zaprosi, to trza z ludźmi żyć«.

Był też zwyczaj, że gdy wesele zajechało przed karczmę, starosta zarządzał, żeby nikt z wozów nie schodził, aż żyd wyszedł z flaszką i pobłogosławił najprzód państwo młodych, życząc im szczęścia, a potem dał wszystkim na dworze po kieliszku, wtedy dopiero weselnicy z wozów złązili, a grajkowie grali na dworze, aż wszyscy goście weszli do karczmy.

Wódką raczyli żydzi tylko chrześcijan, sami jej nie pili i jest to wielką rzadkością widzieć żyda pijanego.

Jeżeli jakiś wyszynk lub sklepik żydowski miał odbiorców tylko z kilku domów, to już się potrafił utrzymać, już mu to wystarczało, żeby mógł istnieć. Jeden szynkarz tarnobrzeski, który miał dziesięciu gospodarzy pijących u niego, mówił, że woli, żeby jemu wszystko się spaliło i przepadło niż tym gospodarzom, bo oni są jego żywicielami i trzymają go na nogach.

Żyli przytem bardzo oszczędnie i gdyby katolicy chcieli ich naśladować, to wszystkie majątki byłyby w ich rękach. Mówią, że biedniejsi żydzi nie jedzą z rana, aż coś zarobią, tj. coś sprzedadzą z zarobkiem.

Ci żydzi, którzy majątki od szlachty wykupywali, początkowo przeważnie biedni, żyli skromnie nawet i wtedy, gdy stali się już dziedzicami, i na przykład nigdy nie widziałem ani słyszałem, by który z nich wyprawiał bale, które we dworach szlacheckich były częste, nie trzymali też takiej drogiej administracji, która cały dochód zabiera, ale gospodarowali czasem może aż z przesadną oszczędnością.

Na przykład o Hauserze, który tak się dorobił, że kupił Kajmów i Machów, opowiadali, że trzymał jednego żydka, któremu w pieniądzech dawał podobno tylko 3 złr. na tydzień, a ten w jednej osobie był rządcą, ekonomem, karbownikiem, a nawet polowym, i każdy, kto miał jakiś interes do dworu, musiał do tego żydka się udawać, bo sam Hauser dojeżdżał tam tylko na kontrolę z Tarnobrzega.

Opowiadali dalej, że żona tego ekonomy chcąc się swemu dziedzicowi przypochlebić, zładowała mu przez parę razy barszcz, który mu tak posmakował, że po powrocie do Tarnobrzega nie czuł się głodnym i nie jadł tego, co mu własna żona podała. Ta dopytywała się męża, dlaczego nie chce jeść, a gdy się dowiedziała, że w Machowie jada barszczyk z »jajkiem i ze śmietankiem«, oburzyła się strasznie, że żona ekonomy lepszy barszcz sobie gotuje i lepiej żyje niż ona dziedziczka i ekonomy tego, wraz z żoną i dziećmi, ze dworu wygnała. Jest w tym nauka, jak się żydzi oszczędnością rządzą, że tylko tu wydają grosz, gdzie tego niezbędna potrzeba wymaga.

Jak tylko zapamiętałem, katolicy zawsze na żydów narzekali i narzekają, a przytem nieraz wyśmiewali się i wyśmiewają z ich różnych wad, żartując i robiąc im nawet różne figle, ale cóż z tego wszystkiego: żyd był i jest na wszystko cierpliwy, a katolicy szli i idą zawsze do żydów i dają się im wyzyskiwać na różne sposoby, i ci się bogacą, choć ciężko nie pracują.

Żyd dotąd ulega katolikowi i pozwala naśmiewać się z siebie i płać sobie najnieprzyjemniejsze figle, dopóki widzi u katolika pieniądze w kieszeni i majątek, ale jak już wszystko wyssie i wyzyska, to się lepiej z katolika wyśmiej i za drzwi go wyrzuci.

Na to można by przytoczyć niejednego przykład. Był w Dzikowie gospodarz jeden dosyć zamożny, który lubiał drwić z żydów, ale zachodził zawsze do żydowskich szynków i żydzi korzystali z niego przy każdej sposobności. Raz uderzył szynkarza w twarz za to, że nie chciał dać mu piwa, żądając naprzód zapłaty. Żyd się z tego rozchorował, wniósł skargę do sądu, ale potem skargę cofnął, gdy chłop obiecał przepić za to w szynku 5 złr.

I przepił tyle zaraz w towarzystwie z drugimi, a gdy chciał dalej pić i szynkarz żądał znowu zapłaty z góry, palnął go znowu w twarz i powiada: »Przedtem zwałem cię w jedną stronę, a dziś w drugą, bobyś głowę krzywo nosił, a tak to ci się naprostuje«. Zrobił się straszny gwałt i krzyk, ale na tym się skończyło, bo żyd znowu się przeprosił, gdy chłop dalej do niego na pijatykę zachodził.

I dopóki się chłop lepiej miał, żyd przyjmował go w szynku, usługiwał mu i znosił wszelkie przewiska, jakie chłopu ślina do gęby przyniosła i dopiero jak majątek od niego wyzyskał, wyrzucał go za drzwi. Skończyło się na tym, że ten zamożny gospodarz umarł w wielkiej biedzie i poniewierce, a żyd ma obecnie jedną z największych kamienic w Tarnobrzegu i dobrze mu się powodzi. (...)

Schadzki sąsiedzkie.

Schadzki odbywały się w zimie wieczorami po domach, latem zaś w niedziele i święta siadywali gromadnie na murawie w miejscu dogodnym przy drodze i rozgadywali się najchętniej o pańszczyźnie, która niedawno ustała, o wojnach, które starsi zapamiętali i straszili się wojnami, które przyjąć mogły; dalej opowiadali o cholerach, jakie grasowały, o czarach i strachach. Nadto

lubili różne opowieści, żarty, zagadki i przepowiednie, nowiny i wypadki, jakie wydarzyły się we wsi i okolicy.

To wszystko znaczyło dawniej tyle, co dziś czytanie książek lub gazet, a kto umiał opowiadać, tego obsiadali dookoła i słuchali jak żydzi rabina i wierzyli każdemu opowiadaniu jak dziś wielu daje wiarę każdemu drukowanemu słowu.

Co do przepowiedni, mówili naprzykład, że nastaną takie czasy, iż drogi będą kamienne, a niejeden nie mógł wyjść ze zdziwienia, jakby to być mogło, żeby droga była kamienna, bo wszędzie widziało się tylko drogi zwyczajne, podobne do dzisiejszych polnych. Albo przepowiadali, że będzie wisieć kłódka u lasu, to jest, że lasy będą zamknięte, podczas gdy dawniej lasy były dla ludzi i wolne i każdy mógł dowolnie korzystać z drzewa i wszystkiego, co las daje, jak dziś korzysta z powietrza i wody.

A przecież te dziwne przepowiednie spełniły się, bo dziś powiat tarnobrzeski, jak i inne, poprzecinany jest pięknymi drogami kamiennymi, t. j. szutrowanymi, i pamięć o dawnych kiepskich drogach ginie. I wstęp do lasu dziś niedozwolony, podobnie jak do ogrodu, a drzewa nieraz nawet za drogie pieniądze nie można dostać — bo co lepsze, wysyła się za granicę.

Mówili też, że przyjdzie na świecie do wielkiej wojny i ludzie tak wyginą, że człowiek człowieka o siedem mil będzie szukał i będzie się cieszył, jak się jeden z drugim spotka. A zacznie się ta wojna od małego państwa i mały dużego pobije, co tak pewnie trzeba rozumieć, że mniej liczne narody, ciemiężone przez wielkie mocarstwa, w tej wojnie głowę podniosą, uwolnią się z przemocy i przyjdą do znaczenia. To teraz zdaje się sprawdzać.

Mieli też różne przysłowia, którymi posługiwali się w stosownych okolicznościach i które wyrażały ich sposób myślenia. Było naprzykład przysłowie: »Na miejscu kamień obrasta«, co tak rozumieli, że gospodarz czy sługa wtedy się czegoś dorabia i do czegoś dochodzi, gdy siedzi w jednym miejscu i pracuje, a nie przenosi się z miejsca na miejsce. — Mówili też: »Dlategoś głupi, bo cię bieda łupi«, to znaczy, kto ma majątek, uchodzi za mądrego, a biedaka, choćby był mądry, w głupiego obracają. Wyrażali to także w przysłowiu: »Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje«. Było również przysłowie: „Zatykaj okna gnojem, a jedz chleb ze spokojem”, t. j. nie rób wielkich wydatków i długów, ale poprzestaj na tym, co masz i nie narażaj się na niepewną przyszłość. — Na wyrażenie zaś myśli, że każdej sprawie należy przypilnować i wszystko robić w stosownym czasie, mieli przysłowie: »Wtedy na grzyby chodzą, jak się rodzą«. O takim, co mówił, że ma dużo do roboty, a owoców tej pracy nie było widać, mówili: »Ma dużo prac, a mało wieszać«. — O takim zaś, co był do roboty niezdatny, »doniczego«, mówili: »Można się nim podeprzeć, jak dziad złamaną pałą«. Używali też przysłowia: »Mądry głupiemu ustąpi«, i na poparcie tego zdania mieli taką gadkę:

Zjechały się raz na drodze z dwóch przeciwnych stron dwie królowe i jedna drugiej zjechać z drogi nie chciała, żeby nie okazać się niższą w godności. Więc stały w miejscu i pisały do mężów, co mają robić. Mężowie odpisali, że która mądrzejsza, ta pierwsza ustąpi. Gdy królowe otrzymały takie odpowiedzi, każda chciała okazać się mądrzejsza i na bok zjechać, więc musieli dopiero przybyć miernicy i wymierzyć na cal, żeby jedna więcej nie ustąpiła, niż druga.

Zabawy niedzielne.

Co do zabaw, to dawniej bawili się więcej, niż dzisiaj. Prawie nie było ani jednej niedzieli lub święta, żeby nie było »muzyki« czyli zabawy w Tarnobrzegu, a najstynniejsze były u Sruły, na ul. Browarnej, i u Szrajbra, na ul. Mokrzyszowskiej. Grali sami żydzi w swoich domach, poczynając niedługo z południa, czasem przez całą noc aż do rana. Płaciło się za każdy taniec, przyczem ten

więcej tańców płacił, kto miał więcej pieniędzy, lub szło to kolejną: raz płacił ten, drugi raz inny. Taniec kosztował 10 cent., a grali go najwięcej 20 minut.

Na granie schodzili się ludzie wsiowi z Dzikowa, Miechocina, a także z innych pobliskich wiosek, nadto mieszczenie tarnobrzeski i sługi dworskie. W tańcach brali udział najczęściej młodzi parobczaki i dziewczęta, ale nie brak było i starszych, żonatych, a słuchaczy i przyglądających się bywały takie gromady, że aż ciasno było w izbie i przed domem. Bo też tam było co widzieć i słyszeć, między tańczącymi bowiem nie brak było zuchów, wystawiających się jeden nad drugiego różnymi śpiewkami i żartami; z tych dosyć było nieprzyzwoitych i niemoralnych, któreby dzisiaj nie uzyskały pochwały, a w owych czasach uchodziły za stosowne i przyczyniały się do większej zabawy i rozweselenia uczestników.

Grajek, czyli »muzykant«, musiał grać tak, jak tańczący zaśpiewał. Nieraz muzykant nie mogąc wygrać nuty, wił się, jak wąż i nierzadko się trafiało że spadał mu za to bat na plecy, a nawet nie było zabawy, żeby muzykanci coś nie oberwali, czasem i dobrze. Ale nie było o to żadnej skargi, bo była taka zasada, że »kiedyś się podjął, to graj, jak ci każę, bo ci za to płacę, a jak nie umiesz, to się do tego nie bierz«.

W domu, gdzie w niedzielę i święto grała muzyka, całym gospodarzem był żyd: zapobiegał większym nieporządkom między zgromadzonymi, wypędzał chłopaków, jeśli zanadto tłoczyli się w izbie.

Raz spotkała mnie na takiej muzyce niemiła przygoda. Gdym był wyrostkiem, pociągnął mię raz na muzykę służący od sąsiada, starszy odemnie. A nietrudno mi było wymknąć się na zabawę, jeździłem bowiem z końmi na nocną paszę, więc można było konie na pastwisku dobrze spętać i wybiec do miasta. Wyjeżdżając wtedy, wziąłem czystą kamizelę pod starą sukmanę, jak mi doradził ów służący.

Gdyśmy przyszli na muzykę, kolega mój, jako starszy, brał się do tańca, ja zaś przyglądałem się zabawie, stojąc w kącie, przy piecu, gdzie tłoczyła się gromada chłopaków, poszturkując się i zawadzając tańczącym. Nagle, jak jastrząb, wpadł z harapem w tę gromadę Szrajber: chłopaki rzucili się ku drzwiom, tylko ja, nie poczuwając się do winy, nie uciekałem.

Wtedy Szrajber ściągnął mnie harapem przez cienką kamizelę tak, że potem przez kilka dni miałem pręgę na plecach i dobrze to czułem. Już też odeszła mnie ochota od zabawy i wróciłem zaraz do koni, a parobek sąsiadów bawił się aż do rana.

(...)

Juliusz Słowacki

Kiedy prawdziwie Polacy powstaną...

Kiedy prawdziwie Polacy powstaną,
To składek zbierać nie będą narody,
Lecz ogłupieją... i na pieśń strzelaną
Wytężą uszy... odemkną gospody...

I będą wieści z wichrami wchodziły,
A każda będzie serce ludów pasła;
Nieznajomemi świat poruszą siły
Na nieznajome jakieś wielkie hasła.

Nie pojmie Francuz... co to w świecie znaczy,
Że jakiś naród... wstał w ciemności dymie,
Choć tak rozpaczny... nie w imie rozpaczy.
Choć taki mściwy - a nie w zemsty imie.

Nie pojmie... jaką duch odbył robotę
W prześwietych serca ludzkiego - ciemnicach
I przez sztandary jest tłuczony złote,
I przez bój wielki - i [w] dział błyskawicy.

„Cóż to” - zapyta - „są za bezimieńce,
Którzy na dawnym wstali mogiłniku?
Bój tylko widać i ogniste wieńce,
A zwierzęcego nic nie słyszeć krzyku!

„Nie, to nie ludzie z krwi i ciał być muszą,
Lecz jacyś pewnie upiorni rycerze,
Którzy za duszę walczą tylko duszą
I ogniem biją niebieskim w pancerze”.

Jacek Trznadel Ji-jitsu

Jeden ze świadków ekshumacji w lesie katyńskim, na wiosnę 1943 roku, znalazł w krzakach, w pewnej odległości od dołów śmierci, wypłowiałą czapkę oficerską. Była już prawie koloru liści i mchu, a znalezienie jej to całkowity przypadek. Znalazca sądził, że to ktoś przed egzekucją chciał zostawić ślad i wrzucił czapkę w krzaki. Było jednak trochę inaczej. Trzeba to wydarzenie powiązać z tym, co opowiadał Dimitrij Stiepanowicz Tokariew, kat ostaszkowców, szef NKWD z Kalinina. – Głupio zrobili, rozstrzeliwali w lesie. A jeden zaczął uciekać, gonili go, krzyczał. – Mówił to z cieniem przechwałki i dumy w głosie, bo u niego, w Twerze, nic takiego się nie zdarzyło.

A naprawdę to było tak.

Podobno w raporcie wewnętrznym NKWD ze Smoleńska odnotowano, że 6 czy 7 kwietnia 1940 (kto to dziś pamięta) Grigorij N. z wojsk wewnętrznych zmarł w szpitalu z powodu rany postrzałowej z pistoletu Walter, kaliber 7,65. Stary sanitariusz, który przypomina to wydarzenie po przeszło pięćdziesięciu latach, nie wie dokładnie, jak to się stało. Pamięta tylko fragment zasłyszanej rozmowy między lekarzem i oficerem NKWD, że rannego postrzelił Polak uciekający z nad dołu śmierci, który wymknął się straży, i że winne śmierci było *oczen' strannoje słowo: dżu-dżitsu*. Słowo japońskie, ale ten Polak, przecież nie był Japończykiem. Trudno zrozumieć. Choroba po postrzale tak *widno nazywajets'a...*

I któż by skojarzył, że naprawdę to było tak.

Porucznik Kaliński pochodził z Warszawy. Trochę uprawiał sport: wielobój, próbował boks i zapasów, tak dla ogólnej formy, a potem zainteresowała go metoda walki wręcz, o której przeczytał w popularnym dzienniku, metoda robiąca furorę w Japonii, opisana pod zeuropeizowaną już nieco nazwą: ju-jitsu. Okazało się, że w klubie mieli amatora, może maniaka, który przyjrzał się metodzie i uczył się jej nawet w Berlinie czy Wiedniu. Studiował też podręcznik w języku angielskim. Japonia była w modzie, a metody walki zapaśniczej odbiegające od europejskich stanowiły legendę. Kaliński zawarł bliższą znajomość z instruktorem, który tylko jemu pokazywał, czego się nauczył. Porucznik zrozumiał, że mogła to być metoda walki i obrony wywiadowców, nocą, w sytuacji, kiedy nie trzeba i nie można używać broni palnej. W wojsku nikt nie myślał o przeniesieniu tego do szkolenia, on sam jednak opanował kilka zasadniczych postaw i chwytów. Jednym z nich było wyszarpięcie się z rąk przeciwnika przy pomocy zręcznego zwodu, kopnięcie nogą do tyłu w żołądek czy wykopanie broni z ręki. Koledzy, którym pokazywał chwyt, żartowali z niego trochę, mówili, że owszem, Japońcy, ho ho! No i rozprawisz się z bandziorem w nocy.

Kaliński został przywieziony do Gniezdowa i lasu katyńskiego drugim transportem wysłanym z Kozielska. Transportowany do dachy NKWD, rewidowany, potem wieziony karetką *czornyj woron*, myślał i czuł to, co myśleli i czuli przed nim liczni oficerowie, coraz bardziej pewni przeznaczenia podróży i pozbywający się ostatnich wątpliwości, gdy rozlegał się suchy odgłos strzałów zaraz po wywleczeniu z karetki kolejnego kolegi. Należał do tych, co nie zapadli się w sobie. Czuł rychły koniec, a trwał przecież świadomy w zimnej, suchej determinacji. Gdyby miał bombę, wysadziłby nią karetkę, mało już myśląc o własnym losie. Kaliński był piątym, którego wyprowadzono z karetki. Gdy po wyjściu chwyciło go pod ramiona dwu enkawudystów eskorty, a za sobą usłyszał kroki trzeciego i kątem oka dostrzegł wykopany dół, był już jak w transie. Nie miał złudzeń co do swego losu, przyjmował go w tym zimnym osłupieniu. Wszystko następowało tak szybko, że w relacji trwa dłużej niż w rzeczywistym przebiegu zdarzeń. Pojął, że dobrze byłoby sprzedać życie jak najdrożej i że ma czasu tyle akurat, ile trwa wykonanie tych trzech, czterech kroków.

I tak się stało. Zrobił całym ciałem ruch do przodu, a gdy zablokowano mu ten kierunek

spodiewając się, że znów tak się rzuci, zaraz potem szarpnął się do tyłu, oswobadzając się z rąk nieznającej sztuki symulacji eskorty. W ułamku sekundy wykopał pistolet z rąk enkawudysty z tyłu, przewrócił go na ziemię, porwał pistolet, strzelił i pobiegł w kierunku lasu. Kilkanaście kroków przebiegł zygzakiem, dopiero tuż przed gęstwiną usłyszał pierwszy strzał i uderzenie kuli w sosnę koło niego. Zanurkował w krzaki, które zerwały mu czapkę z głowy. I pobiegł przed siebie. Słyszał głosy i tupot gonitwy z tyłu, potem z boku. Rozumiał, że nie ma szans, więc rzucił się na ziemię przyjmując pozycję do strzału. I gdy na kawałku wolnej przestrzeni przed nim pojawił się żołnierz pościgu, strzelił do celu, jak na dłoni. Tamten przewrócił się, ale już biegł z prawej i lewej, razem ze strzałem poczuł uderzenie kuli w plecy, a potem cios bagnetem. I to już absolutnie wszystko, co dane było mu jeszcze doznać na tym świecie.

Tak się złożyło, że uczestnicy zajścia opowiedzieli o tym w obecności bawiącego akurat w smoleńskiej centrali instruktora z Moskwy. – Ciekawe – powiedział on – byłem na pewnym pokazie i wygląda na to, że Polak znał taką japońską metodę walki, która nazywa się ju-jitsu. Może nie on jeden w armii polskiej został w tym wyszkolony?

Po naradzie, następnej partii polskich oficerów, rewidowanych w daczach, zarzucano płaszcze na głowę i wiązano ręce specjalną pętlą. Z tej pracochłonnej metody zrezygnowano dopiero wtedy, gdy zorientowano się, że przypadek porucznika Kalińskiego był unikalny. Ale i wtedy wiązano jeszcze często ręce młodym oficerom, gdy nie starczało kajdanek. Zdejmowanie ich po strzale nad dołem i odwożenie do dacz tych *naruczenkow* to dodatkowa komplikacja. A związanym rąk już rozwiązywać nie było trzeba. W ten sposób heroiczne wojska NKWD rozprawiły się z japońską metodą ju-jitsu.

Żołnierzem osłonowej eskorty, który jedyny padł od kuli z Waltera kaliber 7,65 był właśnie Grigorij N. Kula w wyniku celnego strzału przeszła lewe płuco w okolicy serca. Skutków krwotoku nie opanowano w smoleńskim szpitalu NKWD.

„Ofiara ju-jitsu” powiedział lekarz w rozmowie z oficerem, czego pielęgniarz absolutnie zrozumieć nie potrafił. Rana postrzałowa była jasna. Pielęgniarz wytłumaczył więc sobie, że jest to nazwa kwalifikacji chirurgicznej tego właśnie uszkodzenia klatki piersiowej. A nazwę zapamiętał tylko dlatego, że słyszał ją pierwszy raz w życiu. Nie wiedział, że lekarz NKWD, i oficer, który powiedział to ironicznie i w czysto symbolicznym znaczeniu, byli obecni na rozmowie z instruktorem z Moskwy.

Porucznik Kaliński został wrzucony do dołu w niecałe pięć minut po swej ucieczce. W ferworze pościgu i ratowania ранego kolegi straż nie zwróciła uwagi, że przy zabitym w pościgu poruczniku nie znaleziono czapki, w której uciekał. Czapka została w krzakach. Nie miała na sobie ani śladów przestrzelenia, ani śladów krwi. Ot, polska oficerska czapka z kolorowym otokiem, który wyblakł potem całkowicie w śniegu trzech zim, deszczu trzech jesieni i trzech wiosen. Nie jedna to czapka polskiego żołnierza zgubiona czasu tamtej wojny. Ale jedyna w katyńskim lesie. Czy było w czapce coś zaszyte, schowane? Któż to może wiedzieć. A i koloru otoku nie dałoby się już odgadnąć.

O losie porucznika Kalińskiego nie mówiono nic. Miał być martwy i był martwy. Oni już na stacji w Gniezdowie byli właściwie martwi. I jeśli mimo wszystko wspominało go jeszcze jakiś czas, to tylko dlatego, że przez niego zginął jedyny żołnierz eskorty w czasie całej, przeszło miesięcznej egzekucji.

Najdziwniejsze było to, że uciekający oficer nie trafił enkawudysty, któremu wykopał broń z dłoni, a zastrzelił dopiero później nadbiegającego w pościgu żołnierza eskorty.

Dlatego przyjaciel Griszy powiedział z żalem do kolegi: – Tego, co miał go rozstrzelać, nie zabił. Ot, los. A Griszę, który mu nic nie zrobił, zabił, choć był niewinny.